★ Apage, satana!

★ Psy i właściciele

★ Jeden tylko strzał



EKSPRES REPORTERÓW '85

EKSPRES REPORTERÓW



- Romuald Karaś
  Diabeł przychodzi nocą
- Katarzyna Kopińska-Gogłuska
  Psia dola
- Andrzej Małachowski
  Śmierć na granicy

W cyklu „Z PODRÓŻNEJ WALIZKI"
ROMAN DOBRZYŃSKI

4H.Sz.until.End.of.T.!

Krajowa Agencja Wydawnicza
Warszawa 1985

Redaguje zespół
Bolesław K. Kowalski, Stefan Kozicki, Aleksander Rowiński

Opracowanie redakcyjne
Katarzyna Machowska

Redaktor techniczny
Maria Kucharska

Projekt graficzny okładki
Marek Płoza-Doliński

KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA
RSW „PRASA-KSIĄŻKA-RUCH"
WARSZAWA 1985

Wydanie I. Nakład 100 000+350 egz.
Objętość: ark. wyd. 6,60, ark. druk. 6,07.
Papier drukowy kl. V. 70g. rola 71 cm.
Skład: Fotoskład Krajowa Agencja Wydawnicza.
Druk i oprawa: Z. Graf. RSW „Prasa-Książka-Ruch"
Piła, ul. Okrzei 5. Zam. 1941/85.
Nr prod. X-13/248/85. N-48.

ISBN 83-03-01109-X

Romuald Karaś

DIABEŁ PRZYCHODZI NOCĄ

Autobus zajeżdża na przystanek PKS. Nad zwartą zabudową Starego Miasta w Zamościu góruje renesansowa wieża Ratuszowa, wyłaniają się monumentalne, wachlarzowe schody. W biurze ewidencji ludności upewniam się co do miejsca zamieszkania bohatera głośnych dawniej reportaży i filmów dokumentalnych. Chcę go odwiedzić.

Dróżką, przez nie zabudowaną jeszcze łąkę, idę w kierunku jednego z osiedli. Identyczne bloki czynią wrażenie zagubienia. Brak kolejności w numeracji dopełnia reszty.

Blok jak wiele innych. Intuicja każe mi wejść do pierwszej z brzegu klatki schodowej. Zgadza się – ten, którego poszukuję, jest na liście lokatorów.

Świeżo malowane ściany. Drugie piętro z podestem świadczącym o czyimś niechlujstwie. Walają się niedopałki papierosów. Ślady rozlanego piwa; zapach uryny.

Przyciskam dzwonek. Nieczynny. Pukam. Nikt nie odpowiada.

– Niech pan otworzy! To ja wysłałem do pana list i telegram...

Cisza. Żadnego ruchu za drzwiami. Znów pukam, ale energiczniej.

Ktoś schodzi z góry; jest to starszy mężczyzna. Ruchem ręki przykładanej raz po raz do gardła daje mi niemy znak,

że lokator musiał dobrze zapić, skoro nie reaguje na pukanie.

Pięścią walę w drzwi co sił. Chwilę nasłuchuję jakichś oznak życia czy ruchu. Daremnie.

Odwracam się i stąpając głośno, ostentacyjnie zaczynam schodzić na parter. Nieoczekiwanie odwracam się i dwoma skokami jestem przy drzwiach. Szybkie spojrzenie w wizjer. Naprzeciw odchylona głowa.

– Ja do pana, panie Bronisławie – mówię ciepło. – Zapowiadałem wcześniej swój przyjazd.

Wciąż patrzę w wizjer. Staram się rozproszyć obawy.

– Przed laty był u pana mój przyjaciel, Zbyszek Stepek...

Na dźwięk tego nazwiska lokator mieszkania reaguje gwałtownie, jak na elektrowstrząs.

– Proszę, niech pan wchodzi, ale się nie przeraża – mówi odciągając jakieś zamki i zasuwy u drzwi. Głos ma nieco skrzeczący, gardłowy.

Obrzucam wzrokiem drobną sylwetkę człowieka z wystającym prawym ramieniem w formie garbu. W porównaniu z tułowiem bardzo długie nogi. Twarz względnie młoda, ale pomarszczona. Patrzy na mnie badawczo, jakby chciał odgadnąć, co mnie doń sprowadza.

– Dlaczego się pan tak zamyka, rygluje?

– Boję się – mówi z przestrachem w oczach.

– Kogo?

Milczy, nie odpowiada. Spoglądam na jego rozbiegane, wystraszone oczy.

Nie bardzo jest gdzie usiąść. Krzesła połamane, stół zdewastowany. Pełno tłustych plam na podłodze, a nawet na ścianach. Kilka butelek w kątach – ślad po jakiejś popijawie. Róg zbitej szyby zaklejony gazetą.

– Za kogo pan mnie wziął?

– Myślałem, że pan jest wywiadowcą albo kimś z proku-

ratury. Sąsiedzi mnie oskarżyli, spodziewam się jakiejś urzędowej wizyty.

– I dlatego pan się krył?

– Tak.

Dialog urywa się. Człowieczek nie bardzo wie, co ze mną robić. Wstydzi się wyglądu mieszkania, biedy czy też nędzy.

– Nie bardzo mogę pana czymś przyjąć, a pan z drogi.

– Proszę o szklankę herbaty.

– To nie takie proste, bo w moim mieszkaniu nie ma prądu.

– Co, wyłączyli?

– Zgadł pan.

– I gaz też?

– Też.

– To jak pan tu żyje?

– Chodzę do baru mlecznego.

– A wieczorem to pan światła nie pali?

– Tak się złożyło, że ostatnio nie palę.

– Wszystko po ciemku pan robi?

– Jak bardzo trzeba to palę świeczkę.

– Pan się cofnie do epoki łuczywa...

– Tak pan sądzi?

Lustruję podłogę. Nie opodal kaloryfera dostrzegam rozsypane figury szachowe.

– I szachy ma pan w nieposzanowaniu...

– A, bo całe moje życie jest w rozsypce.

Stoimy naprzeciw siebie. Z ciekawością świdruje mnie oczyma. Nie pozostaję mu dłużny.

– Dlaczego się pan tak zamyka, rygluje – ponawiam pytanie, spoglądając na drzwi.

– A bo mnie nachodzą – odpowiada.

– Czy pan się broni, jak pana nachodzą? – staram się pociągnąć go za język.

– A tak, bronię się. Dawniej to mi kluczem albo wytry-

chem otwierali mieszkanie. Ale teraz mój kolega z Domu Dziecka wstawił do drzwi zasuwy i wmontował wizjer. Jak nie chcę, to ich nie wpuszczam. Postoją jakiś czas, poawanturują się, ale w końcu pójdą. A dawniej nie miałem na nich rady; pchali się do mieszkania drzwiami i oknami, aż powstała speluna i nie miałem gdzie spać, bo mnie wyrzucali z łóżka.

Kończy opowieść i obserwuje moją reakcję.

– Ale kim pan właściwie jest? Przepraszam, ja w dalszym ciągu nie wiem – pyta, zadzierając hardo głowę na szyi cienkiej, jak patyk.

– Już raz panu powiedziałem, że przyjacielem Zbigniewa Stepka, jak i on także reporterem.

– A dlaczego nie przyjechał sam pan Stepek?

– Nie żyje.

– Jak to nie żyje? Zmarł na serce? Nie wyglądał na zawałowca. Zginął w wypadku samochodowym? Samochodem jeździł ostrożnie, pamiętam doskonale. Dlaczego nie żyje?

– Zginął w górach.

– Jak to zginął?

– Porwała go lawina. Tylko czekan po nim pozostał.

– Taki człowiek... Taki człowiek – łka. A po chwili mówi przez łzy: – To dzięki niemu mój głos usłyszała Polska – podkreśla z dumą. – Taki człowiek, taki człowiek...

Patrzę nań chłodnym okiem. W końcu rzucam cierpką uwagę:

– Dość już łez. Szmat czasu minął od tej tragedii, życia się nie wróci.

– Czy to się stało w Tatrach?

– W jakich tam Tatrach, w Himalajach! Gazet pan nie czyta, do cholery – cała prasa przecież o tym trąbiła!

– A żeby pan wiedział, od dość dawna już nie czytam gazet.

– A co pan w takim razie robi? Koczuje pan w tym prymitywie i czeka na śmierć? Chyba trochę za wcześnie! – mówię podniesionym głosem.

– Nie zagrałby pan ze mną w szachy? – nieoczekiwanie proponuje.

Rozkładamy dużą, turniejową szachownicę na stole. Gdzieś zawieruszyły się dwie figury: koń i wieża. Mały człowieczek zastępuje wieżę pudełkiem zapałek, a konia jednozłotową monetą. Gramy. Mój przeciwnik traci figurę za figurą. Nie dostrzegam w tym żadnej pułapki. Nagle szachuje mnie i dopiero teraz widzę groźbę mata. Rozpaczliwa obrona na nic się nie zdaje. Partię wypada poddać.

– Proponuję rewanż – mówi.

Gram ostrożnie. To mnie gubi. Atak za atakiem rozbija moją obronę. Dostaję mata.

– Gratuluję – ściskam mu dłoń.

Mój przeciwnik świdruje mnie oczkami. Chyba znów wątpi, że jestem reporterem.

– Czego pan chce ode mnie?

– Pisałem panu o tym w liście.

– Ale list do mnie nie dotarł.

– Trudno.

– Od czego mam zacząć? – mówi tak, jakby list znał.

– Od początku.

– W takim razie musimy pojechać do Zwierzyńca.

*

Zwierzyniec. Bujna zieleń Roztocza. Spacerujemy po osadzie z małym człowieczkiem.

– Proszę mi mówić po imieniu, Bronek. Albo per „ty". Taki już jestem, że nie lubię, jak mi ktoś pania.

– A jak redaktor Stepek zwracał się do pana?

– Oczywiście, po imieniu i per „ty". To był równy facet.

Ale ja mu cały czas mówiłem: panie Zbyszku, panie redaktorze. Ja do pana Stepka cały czas podchodziłem z szacunkiem, a on do mnie bezpośrednio, jak do kolegi.

– Co mu pan zawdzięcza?

– Biografię. On mi ją stworzył, jak mu opowiedziałem moje życie.

– Jaka to była biografia?

– Okupacyjna, martyrologiczna.

– Co to panu dawało?

– Mogłem się nią posługiwać przy różnych okazjach. Zaczynała się tak: „Nazywam się Bezimienny, Bronisław Bezimienny..."

Podchodzimy do gospody GS. Waha się, czy ma odwiedzić ów przybytek. Zapraszam go.

Tłok i gwarno. Przy stolikach pełno klienteli zapijającej wódkę pod jakąś prymitywną zakąskę. Oczy Bronka biegają za ruchami rąk, unoszącymi kieliszki. Mimo woli oblizuje się na ten widok.

Siadamy przy wolnym stoliku. Przywołuję po chwili kelnerkę.

– Rosół, kurczaka i... – zamawiam z karty.

– Dwie wódki – dopowiada Bronek.

– Żadnej wódki, tylko kompot – protestuję.

Siedzimy bez słowa. Bronek wierci się niespokojnie. Widzi, jak wszyscy wokół piją.

– Pan bez wódki to może jeść? – pyta po dłuższej chwili.

– Oczywiście!

Kelnerka przynosi rosół. Bierzemy się do jedzenia. Bronek chłepcze zachłannie.

– Dawno pan jadł ostatni obiad?

– Rok temu.

– Człowieku, na wódkę cię stać, a obiadu sobie skąpisz – czynię mu wyrzuty.

Na drugie jemy kurczaka. Bronek co jakiś czas odrywa się od talerza. Pije wtedy kompot, ale tak, jakby w szklance była wódka. Widać, że wykształcił się w nim charakterystyczny odruch alkoholika.

– Pan się powinien leczyć – nie mogę powstrzymać się od pouczeń.

– Co pan ma na myśli? – pyta Bronek z głupia frant.

– Odwyk.

– O, co to, to nie! Na odwykówce rujnują człowiekowi zdrowie. Co z tego, że się nie ma pociągu do wódki, kiedy po leczeniu wątroba jest już chora i serce słabe.

– Brednie! Pan powinien pójść na odwyk.

Bronek rozgląda się po sali. Widok pijących jest dlań chyba psychiczną torturą – chciałby pójść w ich ślady, a tu nie bardzo mu wypada.

Opuszczamy lokal. Znów spacerujemy po Zwierzyńcu. Bronek na chwilę zatrzymuje się przed kępą bujnej zieleni.

– Tu stał barak, w którym mnie więziono z matką. Tak twierdzi pani Wanda, moja późniejsza wychowawczyni w sierocińcu.

Miałem wtedy trzy lub cztery lata. Tak, nie więcej, bo na pewno wszystko lepiej bym pamiętał.

Pamiętam dom w lesie. Chyba musiały być święta, gdyż przed oczyma stoi mi choinka. I to ubrana w różne świecidełka, łańcuchy ze słomek i kolorowych papierków, anielskie włosy. Jakaś dwójka dzieci: może chłopiec i dziewczynka, może dwaj chłopcy, może dwie dziewczynki. Bawiłem się między nimi piłką. Właśnie piłką.

I drugi obraz. Pamiętam dom i las naokoło. Coś się zatrzęsło, odczułem łomot, jęk, zgrzyt. Później nie wiem, co się stało, moja myśl się urywa. A teraz to mi się wydaje, że po tym bombardowaniu czy ostrzale, chyba Niemcy wkroczyli, a ja dostałem się do obozu.

Barak. Bo pamiętam coś długiego o dwu wylotach – z jednej strony drzwi i z drugiej drzwi, wiele łóżek w środku. Słychać było jęki, płacz, krzyki. Od czasu do czasu wnoszono jakieś duże naczynie i rozdawano zupę.

Pamiętam kobietę trzymającą mnie na rękach. Czuję i widzę ten moment, kiedy nagłym ruchem zostałem wyrzucony przez druty, bo druty z tego wszystkiego najbardziej zapamiętałem. Tak, kolczaste druty na trwałe utkwiły mi w pamięci.

I wtedy, po tym nagłym wyrzuceniu, upadłem na jakąś kupę kartofli, chyba cały kopiec, widocznie była pora jesienna, a może nawet wiosna. Nie wiem, jak długo leżałem, płacząc z bólu i zimna. Z głodu gryzłem surowe kartofle.

Zapamiętałem dwa strzały. Po tym pierwszym pada ta kobieta; kto wie, czy to nie była moja matka, która przerzuciła mnie przez druty obozu i dlatego strzelił do niej wartownik. I słyszę drugi strzał, jakby od strony lasu; wtedy pada ten z karabinem. Tu jest luka w obrazach, potem dopiero widzę jakiś płaszcz, ktoś mnie otula, jest mi ciepło, trafiam do czyjegoś domu.

Jak świadkowie później zeznali, zostałem przerzucony za druty. To było już po pacyfikacji Zamojszczyzny. Obóz ze Zwierzyńca przenoszono wtedy na Majdanek.

Znalazłem się w zwierzynieckim sierocińcu, potem zamienionym na przedszkole. Zapamiętała mnie jedna z wychowawczyń; twierdzi, że należałem do uratowanych dzieci, nad którymi powierzono jej opiekę.

Że w sierocińcu przebywałem, to fakt. Pamiętam, było bardzo dużo dzieci, dwie sale, jedna dziewcząt, druga chłopców. I las naokoło, jak w Zwierzyńcu – Bronek zatacza krąg rękoma. – I pamiętam jeszcze, że wtedy ktoś mnie straszył, chodząc na wysokich szczudłach, a ja chowałem się pod łóżko, bo jak on głową dotykał sufitu, to nie mógł dosięgnąć

mnie pod łóżkiem. Strach ten był na biało ubrany; to widzę. Ale żadnych innych twarzy, osób, nie mogę sobie przypomnieć.

Potem byłem w domu małych dzieci w Łazach. Wychowywały nas siostry zakonne. Dziwnie mało zapamiętałem z tego okresu. Chyba najbardziej utkwił mi w pamięci epizod, kiedy jechaliśmy furmanką, powoził mężczyzna, a dwie siostry wiozły kilku wychowanków. Przekazywano nas do domu dziecka w Zamościu. Chcąc mnie zaewidencjonować powiedziały, że jestem bez nazwiska, dlatego trzeba je dla mnie ustalić. To dobrze pamiętam.

Spacerujemy po Zwierzyńcu. Osada położona w lesie. Zieleń wciska się między budynki. Idyllicznie, sielsko.

– Czas jakiś chowałem się bez imienia i nazwiska. Mówiono wtedy: on, ten chłopiec. Przywoływano mnie zazwyczaj bezosobowo: nie miałem przecież ani nazwiska ani imienia. –

Pamiętam, jak nauczyciel w pierwszej klasie wypełniał moją ankietę. Czytał, a ja milczałem. Odpowiadał on:

– Nazwisko.

– Nieznane.

– Imię?

– Nieznane.

– Nazwisko ojca?

– Nieznane.

– Nazwisko matki?

– Nieznane.

– Krewni?

– Nieznani.

– Stosunki rodzinne?

– Brak danych o rodzinie.

– Data urodzenia?

– Nieznana.

– Miejsce urodzenia?

– Nieznane.

Dłuższy czas zastanawiano się, jak mnie nazwać. Proponowano wersję urzędową: Pekosiński. To od skrótu nazwy: PEKOS, Polski Komitet Opieki Społecznej. Nawet mówiono: „Pekosiński nie obgryzaj paznokci". Chłopcy w klasie zwracali się do mnie: „Pekos, masz matmę?" Na początku edukacji byłem dobry z matematyki, więc odpisywali ode mnie zadania domowe.

Pamiętam, że siostra przełożona zaprowadziła mnie do kancelarii Sądu Powiatowego. Tam pan sędzia sporządził mi akt urodzenia. Na początek spytał:

– Byłeś chrzczony?

– Nie pamiętam.

– Nikt ci o tym nie mówił?

– Zaraz, zaraz... – starałem się sobie przypomnieć. – Chyba siosra przeorysza mówiła, że kiedy zachorowałem na zapalenie płuc i zanosiło się że umrę, to ona mnie ochrzciła.

– A jakie imię ci dała?

– No, właśnie, tego nie mogę sobie przypomnieć.

– Jeszcze będzie z ciebie, chłopcze, wielki człowiek, skoro własnego imienia zapomniałeś – zauważył sędzia. – Pamiętaj, wielcy ludzie są roztargnieni i o elementarnych sprawach nie pamiętają.

Zacząłem płakać, zrobiło mi się jakoś głupio, nie wiedziałem, co ze sobą począć. Pomyślałem, że trzeba uciekać. Ale dokąd? Po co? Pan sędzia mnie znów pytał. Dla ośmielenia mnie i nawiązania kontaktu, gładził mnie po głowie.

– Jakie imiona lubisz: Janek, Jurek, Tadek, Zdzicho?

– Żadne.

Wtedy odezwała się siostra przełożona:

– Panie sędzio, trzeba nawiązać do wojny, daty jej wybuchu. To może ułatwi poszukiwania rodziny chłopca.

– Racja, wojny nie da się wyeliminować z twego życia, chłopcze. Ale jak i czym to podkreślić? O, mam myśl! Pierwszy września 1939 roku damy ci jako dzień urodzenia. Pamiętaj, urodziłeś się w dniu napaści Niemiec hitlerowskich na Polskę, w dniu wybuchu drugiej wojny światowej... A na imię damy ci Bronisław, bo pierwszego września jest Bronisława.

– Jeszcze rodziców trzeba mu stworzyć – przypomniała siostra przełożona.

– Pamiętam, pamiętam – uśmiechnął się sędzia. – Ojcu damy, oczywiście, nazwisko Bezimienny, a nazwisko panieńskie matki niech będzie Bezimienna. Tak, doprawdy, trudno o lepsze nazwiska.

– Mój ojciec nie nazywał się Bezimienny! – krzyknąłem.

– A jak? – spytał sędzia.

– Skąd mam wiedzieć! – znów krzyknąłem.

– Słuchaj, chłopcze, musisz mieć nazwisko – przekonywał mnie sędzia. Dlatego nazwiemy cię Bezimienny. To nazwisko zwróci na ciebie uwagę, może dzięki niemu odnajdziesz rodziców, a przynajmniej matkę. W twoim interesie leży, aby ojciec nazywał się też Bezimienny, a matka Bezimienna. Tak, doprawdy, trudno w twojej sytuacji o lepsze nazwisko...

Siedziałem przed sędzią jak porażony. On mówił, że mój ojciec jako młodszy od niego powinien urodzić się w dniu wybuchu pierwszej wojny światowej, a matka po jej zakończeniu.

Po latach zdałem sobie sprawę, iż tak wyglądały moje narodziny prawne. Już nie całkiem byłem bezimienny. Już nazywałem się Bezimienny.

Sędzia pytał mnie:

– Czy chcesz, żebyś urodził się w Zamościu?

– Nie, wolę w Zwierzyńcu.

– Dlaczego?

– Bo tam był las, było zielono i była pani Wanda, wychowawczyni w sierocińcu, która kazała mi mówić do siebie mamo.

– Dobrze, napiszemy, że urodziłeś się w Zwierzyńcu – zgodził się sędzia.

Podeszliśmy z Bronkiem do przystanku PKS. Autobus zabrał nas do Zamościa.

*

Pan sędzia Kańczuga dożywa swoich dni na emeryturze. Mimo podeszłego wieku pamięć mu dopisuje. Z wielu spraw opiekuńczych i rodzinnych, jakimi się zajmował w swojej długoletniej karierze prawnika, chyba najbardziej pamięta sprawę Bronka.

– Nawet w moim zawodzie sporo czynności wykonywałem rutynowo, niejako mechanicznie. Ale nad losem tego chłopca nie mogłem przejść do porządku dziennego. To przypadek szczególny. Każdy człowiek wyrasta z jakiejś rodziny, przynależy do określonego środowiska, ma swoją biografię. O Bronku wiedzieliśmy tylko tyle, że jest bezimienny, stracił bliskich w czasie pacyfikacji Zamojszczyzny i został uratowany jako dzieciak przed wywózką matki na Majdanek. Kobiety przerzucały wtedy swoje dzieci za druty obozu przejściowego w Zwierzyńcu, aby w ten sposób je ratować przed najgorszym. Innym dzieciom bardziej się poszczęściło, bo znalazły potem swoje rodziny, bliższe lub dalsze. Do Bronka nikt się nie przyznawał. Kto wie czy nie dlatego, że wiadomo było od początku, że zostanie kaleką: miał skrzywienie kręgosłupa, prawdopodobnie z powodu upadku z dużej wysokości na kopiec kartofli. Nie chciałbym jednak kogoś krzywdzić takim przypuszczeniem. Jego najbliżsi mogli wszyscy zginąć w czasie pacyfikacji Zamojszczyzny, bo znam przecież całe rodziny, z których nikt nie ocalał.

Pytam sędziego, czy miał później kontakt z chłopcem.

– Prosiłem Bronka, aby co pewien czas odwiedzał mnie w sądzie, czy w domu. W jakimś sensie czułem się współodpowiedzialny za jego los. On potrzebował oparcia, był przecież samotny. Sierocińce i domy dziecka często tylko wzmagają chorobę sierocą. Rodziny nikt i nic nie jest w stanie zastąpić. Ale zdarza się, że wychowanek, mimo wszystko, wyrasta na człowieka, jeśli trafi na kogoś, kto umiejętnie pokieruje jego losem. Bronek był chyba o krok od takiej szansy. Znałem wszystkie jego perypetie wychowawcze i wydaje mi się, że gdyby nie stracił kontaktu i więzi z panią Bukowską, wychowawczynią o dużym poczuciu obowiązku i wspaniałym sercu, to jego los potoczyłby się zgoła inaczej. Ale on przechodził z rąk do rąk, każdy usiłował go kształtować po swojemu i oczywiście uszczęśliwiać. Różne to były czasy i różne wichry wiały. Okazuje się, że nawet Bronek nie mógł pozostawać na uboczu i odgrywał jakąś szczególną rolę. Tak, próbowano z niego zrobić pewien symbol...

Dowiaduję się o różnych osobach, przez ręce których przechodził Bronek. Pan sędzia Kańczuga, jak widać, nie przeszedł obojętnie wobec losu chłopca. Zdaje sobie sprawę z jego dramatu i ma nawet wyrzuty, iż nie był w stanie przeciwstawić się złym wpływom wychowawczym, jakim uległ Bezimienny.

– Raz czy drugi próbowałem mu przemówić do rozsądku i serca. Gdy popadł w konflikt z prawem, podałem mu rękę; dostał wyrok w zawieszeniu. Ale wpływu na zmianę środowiska, w jakim przebywa, nie mam. Wiem, że stoczył się bardzo nisko...

*

Nie opodal zabudowań klasztornych rozciąga się ogród. Na mikroskopijnych poletkach i grzędach idealny ład. Mię-

dzy słonecznikami porusza się postać zakonnicy, ubranej w szary habit. Stoję przy furcie, obserwując uważnie jej postać. W końcu decyduję się do niej podejść i porozmawiać.

– Siostro Anno, interesuję się losem Bronka...

– Dlaczego pan mnie nęka, odgrzebując sprawę sprzed tylu lat?

Siostra Anna uwija się wśród słoneczników. Płoszy wróble, próbujące wydziobywać ziarnka. Kawałkami starych pończoch obwiązuje tarcze słoneczników, zabezpieczając je w ten sposób przed ptactwem.

– To jest sprawa sumienia, duszy...

– Pan chce wniknąć w mój bardzo prywatny świat. Czy pan ma do tego prawo?

– Prawo do tego ma Bronek. Przychodzę tutaj nie z własnej woli... Kto wie, czy to nie jest ostatnia szansa, aby go ratować.

– Niech pan pyta, odpowiem.

– Dlaczego siostra okłamała Bronka?

– Dla dobra, jeśli pan chce znać prawdę! – mówi podniesionym głosem. Obraca głowę i z trudem próbuje opanować szloch.

Śledzę jej reakcje. Twarz siostry Anny zmienia się. Czyżby w jej pamięci odżył ów epizod, który udało mi się teraz odtworzyć z kilku relacji?

Przed oczyma mam inną postać – młodszą o lat trzydzieści. Inne czasy, inna epoka, ale korzenie sprawy tam właśnie sięgają.

Siostra Anna czujnie obserwuje chłopców, wychodzących z gmachu Zarządu Powiatowego ZMP. Wszyscy w zielonych bluzach i czerwonych krawatach. Pojawia się Bronek, ubrany identycznie. Jest jakiś podekscytowany, coś wyraźnie przeżywa. Zakonnica przechodzi obok, starając się zwrócić na siebie jego uwagę. Chłopiec spostrzega siostrę Annę, ale

waha się, jak zareagować. Przystaje na moment, pozorując zawiązywanie sznurowadła w tenisówkach.

– Znowu byłeś na akademii?

– Tak. Co to zresztą siostrę obchodzi...

– Bronek, ty nie jesteś dzieckiem Zamojszczyzny, lecz znajdą. Nie masz domu, nie masz nikogo. Jeśli w życiu coś chcesz znaczyć, ucz się zawodu, a nie występuj w roli bohatera. Czas mija i bohaterowie okazują się zbędni.

– Niech siostra powtórzy, to co powiedziała.

– Broneczku, ty jesteś znajdą, podrzutkiem – mówi z okrucieństwem i czułością.

Bronek wpija się wzrokiem w siostrę, rozcapierza palce, jakby za moment chciał się na nią rzucić i ją udusić. Z nienawiścią pluje w twarz siostrze Annie, odwraca się, chwilę stoi tyłem, potem biegnie i szlocha.

Stoję w ogrodzie obok siostry Anny. Milczy. Słońce rzuca krótki, południowy cień. Lekko kołyszą się słoneczniki, na tarczach których siadają wróble i usiłują przez pończochę dobrać się do ziaren.

– Ja to zrobiłam w imię dobra – wyznaje siostra Anna.

– Jakiego znowu dobra? – dziwię się.

– Bronek rzeczywiście był dzieckiem Zamojszczyzny. Jego matka zginęła w obozie. Nikt z transportu nie ocalał. Kiedy Bronka zaczęto kreować na bohatera, próbowałam zawrócić go z tej drogi. Kłamałam w imię prawdy – wyznaje siostra Anna.

– Dlaczego siostrze tak na nim zależało?

Pytanie pada w pustkę. Patrzę w oczy siostrze. Milczy.

– Dlaczego?

– Coś mi serce ściskało, gdy patrzyłam na niego – mały, chudzieńki, z początkiem garbu. Chciałam wystąpić z zakonu i usynowić Bronka, znaleźć pracę gdzieś w szpitalu. W przyszłości może nawet skończyć medycynę, dwa lata stu-

diów mi przecież tylko pozostało. A jednak nie zdobyłam się na ten krok – zabrakło mi odwagi...

Siostra podbiera ogórki na grzędzie, wkładając je do koszyka. Myślę o Bezimiennym, jakby tracąc ją z oczu.

Po dłuższej chwili mówię:

– Proszę siostry, Bronek, żywy symbol martyrologii dzieci Zamojszczyzny jest nad przepaścią.

– Nie wiem, czy dziś mogę w czymś mu pomóc. Chyba rana, jaką mu zadałam, nie zabliźniła się. Niewielka pociecha, że życie przyznało mi rację – odpowiada dźwigając koszyk pełen ogórków.

Podążam za siostrą. Na dziedzińcu klasztornym stara przeorysza wyprowadza na spacer gromadkę dzieci głęboko upośledzonych.

– Matko Elżbieto, ja się już nimi zajmę – mówi siostra Anna, oddając koszyk z ogórkami innej zakonnicy.

Widzę, jak siostra Anna ujmuje za rękę pierwszą parę i podąża z dziećmi na spacer. Łańcuszek jej wychowanków niknie w perspektywie polnej drogi wśród zbóż.

Przeorysza mówi do mnie:

– Proszę pozdrowić ode mnie panią Bukowską, wychowawczynię Bronka. Starała się zastąpić mu matkę... I jej następcę, nosił takie ptasie nazwisko: Kos, Wróbel czy też Szczygieł, też niech pan odwiedzi. Uważał się za inżyniera dusz ludzkich...

*

Siedzę w „Oazie" i czekam na Bronka. Wszystkie stoliki zajęte. Po lewej czterech mężczyzn ubranych jak na stypę, w czarne garnitury i krawaty, białe koszule; są zajęci dość dziwną operacją. Z odkorkowanej butelki ulewają nieco wódki do kieliszków, a gdy kelnerzy idą do kuchni, jeden z nich błyskawicznym ruchem wyciąga butelkę z torby, jed-

nym uderzeniem dłoni odbija korek i nalewa do szklanek.

Idę do portiera, pytając, czy nie widział Bronka. Mówi, że go nie wpuścił. Każe mi czekać, bo skoro się umówił to przyjdzie.

Znów zajmuję miejsce przy stoliku. Wydaje mi się, że za szybą dostrzegam głowę Bronka. Zgadza się, to on. Nie widzi mnie. Jego wzrok obejmuje prawą część knajpy. Blisko okna siedzi grupa mężczyzn w towarzystwie dwu kobiet. Bronek uśmiecha się do nich. Dopiero teraz widzę, iż wspiął się na parapet i uderza jedną ręką w szybę.

– Bronuś, nasz apostoł! – odzywa się jeden z mężczyzn, adorujących towarzyszki popijawy.

Gwar w knajpie cichnie. Uwaga wszystkich skupia się na oknie. Wszyscy widzą twarz Bronka i jego rozbiegane oczka. Grono znajomków wybucha szyderczym śmiechem. Jeden z mężczyzn w czarnym garniturze pyta na całą salę:

– Co to za pokraka?

Jedna z kobiet uchyla okno, chcąc jakby pomóc Bronkowi. W tym czasie pada odpowiedź:

– To ten, co go kobyła wypierdziała na moście!

Dowcipniś skręca się ze śmiechu. Sala mu wtóruje.

– Psy... świnie – piskliwym głosem Bronek wyrzuca z siebie odpowiedź na obelgę.

Podbiegam do okna. Bronek unosi się z ziemi i biegnie w stronę parku, przylegającego do osiedla i „Oazy”. Wołam go, ale nie słyszy. Znika gdzieś w gęstwinie krzaków.

Dokąd mógł zawędrować? Odwiedzam kolejno zamojskie knajpy. Wszędzie ta sama odpowiedź – nie było go dzisiaj. Dał się już dobrze poznać, nie ma więc mowy o przeoczeniu jego pobytu.

Drogą na skrót ze Starego Miasta idę przez łąkę. Na obrzeżu parku pali się ognisko. Wokół siedzą Cyganie, dopijając resztę wódki.

Pytam gapiów, czy nie widzieli tutaj Bronka. Oczywiście, że był. To dobry znajomy Cyganów. Częstowali go wódką, ale przedtem musiał tańczyć czardasza. Na skrzypcach grał mu melodię wirtuoz kaleka, na wpół sparaliżowany i niewidomy.

– Panie, to był widok nie z tej ziemi ten jego taniec – tłumaczy mi stary Cygan, częstując wódką z musztardówki.

Gapie mówią, że Bronek na czworakach wycofał się z obozowiska Cyganów i klucząc w wysokiej trawie między drzewami powędrował w stronę osiedla.

Idę jego tropem. Kilku lokatorów obserwowało osobliwą wędrówkę Bronka. Jak zwykle, zmaltretowany, łamiącym się głosem, przepraszał ich zapewniając, że to już ostatni raz widzą go w takim stanie.

Łomoczę do drzwi. Daremnie. Albo śpi zmożony wódką, albo słyszy moje dobijanie się i boi otworzyć myśląc, że to kompani znów go nachodzą.

Idę do hotelu skrótem przez łąki. Dopala się ognisko cygańskie. Mężczyźni śpią pokotem na trawie, kobiety drzemią siedząc, otoczone marudzącymi dziećmi.

Księżycowa noc. Zastanawiam się, co o takiej porze i po takich przeżyciach może śnić mały człowieczek?

*

Role się odwracają. Rankiem zastaję drzwi mieszkania Bronka otwarte. Lokatora nie ma. Wchodzę i zaryglowuję się od środka. Czekam kto się będzie dobijać.

Słyszę, jak ktoś skrada się po schodach. Podchodzę do drzwi i spoglądam przez wizjer. Na podeście stoi Bronek i trzęsie się ze strachu. Chrząkam i pokasłuję. Twarz jego krzywi się z przerażenia. Wyrzuca przed siebie ręce i krzyczy rozdzierającym głosem:

– Ja cię nie znam! Precz z mojego domu!!!

Odryglowuję drzwi.

– Gdzie to pana diabeł poniósł? – pytam.

– A skąd pan wie, że on tu był? – dziwi się.

– E, widzę, że panu Bronkowi myszki się już pojawiają przed oczyma.

– Żadne myszki.

– Co w takim razie!

Bronek waha się, czy opowiadać. W końcu mówi mi o wszystkim. Oto jego upiorna noc:

Za oknem mieszkania nachyla się księżyc, spogląda do izby i rzuca swoje blade światło na śpiącego. Bronek mówi mu dobry wieczór. Księżyc nie odpowiada i kryje się za sąsiednim blokiem, ledwie sącząc swoje światło. Z mroku wyłania się para dziwnych, fosforyzujących oczu. To zjawa. Bronek budzi się, spogląda w jej stronę i śledzi, jak te oczy obrastają w ludzką głowę. Coraz wyraźniej widać twarz mężczyzny o rysach ostrych, bardzo nieprzyjemnych. Głowa porusza się to w jedną, to w drugą stronę.

– Czego chcesz ode mnie? – pyta Bronek.

– Wołałeś mnie – odpowiada głowa i przesuwa się z rogu mieszkania na sam środek.

– Ja cię nie znam! – konwulsyjnym ruchem rąk stara się Bronek odepchnąć zjawę.

Zjawa nie ustępuje. Bronek wciska się w kąt amerykanki. Ogarnia go paniczny lęk. Rękoma zasłania twarz i krzyczy:

– Ciebie nie ma!

Cisza. Bronek odsłania twarz, opuszcza ręce. Nic nie widzi. Tam, gdzie była przed chwilą zjawa, jest pustka. Nagle słyszy poza sobą silny, przejmujący grozą i zimnem głos:

– Nie ma mnie? Ha, ha, ha... – śmieje się drwiąco pogardliwym głosem.

Bronek jeszcze raz wykrzykuje:

– Ja cię nie znam!

Głowa przechadza się po całym pokoju. Bronek śledzi jej ruchy. Nagle spostrzega, że głowa zmienia swój kształt, płynnie się przeobraża w szereg głów. Twarze niby różne, ale w gruncie rzeczy jednakowe, wyrażające to samo: ZŁO.

Bronek z przestrachem spogląda na szereg głów. Nieoczekiwanie przeobrażają się w jedną głowę. Zamazują się rysy twarzy, spod czapki, charakterystycznej dla funkcjonariuszy gestapo mierzą go zimne, bezwzględne oczy. Bronek z przerażeniem wykrzykuje:

– Idź precz!

Twarz zjawy w czapce gestapowca przemienia się w odrażającą twarz starca.

– Już cię nie puszczę...

Bronek w panicznym strachu zrywa się z amerykanki, dopada drzwi, gwałtownie je otwiera, na klatce schodowej rzuca się do przodu, twarzą wzdłuż schodów. Poturbowany i półprzytomny jakiś czas leży na dolnym podeście. Z trudem dźwiga się i lękliwie spogląda za siebie. Znów wystraszony, kulejąc, zbiega na podwórze.

Już świt na niebie. Wlecze się w stronę zieleńca. Sadowi na ławce, przybierając dziwną pozę – podkurcza nogi, twarz kryje w dłoniach. Wyglądem przypomina ptaka z przetrąconymi skrzydłami: jest chory, osowiały, trzęsie się z zimna.

– Panie Bezimienny, tu nie ma co zwlekać, zabieram pana do lekarza – mówię po wysłuchaniu jego opowieści.

– Ja pana pogryzę, kopnę, ale siłą wziąć się nie dam – odgraża się.

– Dobra, dobra, niech pan się nie wygłupia – łagodzę sytuację. A po chwili proponuję: – Może byśmy coś zjedli...

– Chleb sól i woda, dla mnie nie ma głoda – Bronek popisuje się swoim porzekadłem. Pochyla się i z szafki wyjmuje chleb.

Patrzę na jego zmaltretowaną twarz. Peroruje:

– Chleb musi być w domu; to jest symbol boży. Na wódkę tracę większą część pięciotysięcznej renty, ale na chleb zawsze sobie zostawiam – stara się łamać czerstwy bochenek, ale nie ma siły.

– Zjemy po kanapce – proponuję, częstując go. – Niech pan wypije łyk gorącej herbaty, dobrze panu zrobi – nalewam mu w kubeczek.

– O, to pan ze sobą nawet termos nosi – dziwi się, kręcąc z niedowierzaniem głową.

Pożywiamy się. Coś mi łazi po głowie i gryzie. Drapię się. Podejrzliwie spoglądam na włosy Bronka.

– Czuję, że pan mnie hojnie zapomógł.

– Co, weszki pana gryzą? Tak, to ode mnie. Od dłuższego już czasu zagościły w moim mieszkaniu.

– Cóż, gratuluję pogłowia – mówię z ironią, odsuwając się od niego.

*

Nim spotkam się z Heleną Bukowską próbuję możliwie dużo dowiedzieć się o niej od Bronka. Nie kryje, że jeśli w życiu coś komu zawdzięcza, to jej najwięcej. Była chora. Traktowała go jak własne dziecko. Może dlatego był jej bliski, że miała dwóch synów osieroconych – jej mąż zginął w Dachau.

Słucham opowieści Bronka o Bukowskiej. To ciąg obrazów, które utkwiły w jego pamięci. Zaczyna się to od tego, iż lekarz stwierdził, że mu rośnie garb i musi być przeniesiony do Ortopedycznego Domu Dziecka we Wrocławiu. Za żadne skarby nie chciał opuścić zamojskiego sierocińca. Tutaj do snu bajki opowiadała mu Bukowska, kazała na siebie mówić mamo, Boże Narodzenie spędzał w jej domu, a nie u obcych ludzi, którzy przebierali w dzieciach zapraszając je do siebie na święta. Miał obrońców w obu synach wychowawczyni –

potrafili dać po nosie chłopakom, gdy mu dokuczali, przezywając go znajdą czy garbusem.

Ale oto nadchodzi czas rozstania. Bukowska odwozi Bronka na leczenie. Nawet w drodze do Wrocławia tłumaczy mu, że to jest konieczność, bo inaczej zostanie kaleką, ale chłopiec płacze i nie chce tego zrozumieć.

Dworzec Główny we Wrocławiu. Bukowska wysiada z Bronkiem. Idą ze stacji na przystanek tramwajowy. Jadą na peryferie. Chłopiec widzi miasto odbudowane ze zniszczeń.

W niewielkim parku dawny pałac. Obok jakieś zabudowania gospodarcze. W oknach budynku twarze chłopców jakby przyklejone do szyb. Oczy śledzą przybyszów.

– Synku, musisz tu zostać, leczyć się – tłumaczy Bukowska.

– Za nic! – krzyczy Bronek i kurczowo ją obejmuje.

Do akcji wkracza przeor i pyta Bronka, czy lubi króliki. Wychodzą z kancelarii na dwór. W szopie stoi rząd kojców z mnóstwem królików różnych ras. Bronek staje jak oczarowany.

– Wybierz sobie jakiegoś królika – mówi przeor.

– Ten mały – Bronek wskazuje na szynszyla. Przeor wyciąga królika z klatki.

– Twój – daje go chłopcu do rąk.

Królik kuli się ze strachu i próbuje wejść pod bluzę chłopca. Bronek gładzi go jedną ręką, a drugą obejmuje.

– Na trawniku rośnie mlecz. Idź urwij – zachęca chłopca.

Bronek słucha rady przeora i karmi królika. Wraca po dłuższej chwili. Bukowskiej już nie ma. Zdaje sobie sprawę, że został oszukany.

– Gdzie jest mama?! Gdzie moja mama... – krzyczy. Rozgląda się rozpaczliwie, chce biec. Przeor jest czujny i go powstrzymuje.

Przechadzamy się z Bronkiem wzdłuż ulicy Ormiańskiej,

zadziwiającej bogactwem attyk mieszczańskich kamieniczek. Wciąż opowiada, wskrzeszając dawne minione zdarzenia.

– Coś ciągnęło mnie do Zamościa, jakby siła magiczna. Choć w Ortopedycznym Domu Dziecka we Wrocławiu mieliśmy dobrą opiekę, a wyżywienie było nawet luksusowe, to czułem się jak w więzieniu i stale się buntowałem. Kazano mi nosić gorset. To było coś gorszego niż kajdany. Gorset dusił mnie, nie mogłem oddychać, uciskał płuca, serce. Żelaza były po bokach i z tyłu, a z przodu znajdowała się skóra sznurowana bardzo mocno aż do zetknięcia lewej i prawej połowy gorsetu. I dochodziły jeszcze widełki żelazne, podtrzymujące barki ramion. Jeśli gorset był mocno zasznurowany, to nie mogłem wyswobodzić się z haków żelaznych, ale je jakoś wyszarpywałem, byle czuć się swobodny. Działałem sam przeciwko sobie. Dziś to wiem. W taki gorset należało wmontować zamki, a klucze powinni nosić wychowawcy. Stopień mojej ułomności byłby dzisiaj niewielki, a może nawet żaden.

Bronek wspomina przygody i przeżycia wrocławskie. Mówi o narastającej tęsknocie za panią Bukowską. Często śniła mu się po nocach. Przeor i zakonnicy mieli go już dosyć.

– W Zamościu czekał mnie ciężki zawód. Zwalniano już wszystkie starsze wychowawczynie pod zarzutem reakcyjnego wpływu na wychowanie dzieci. Coś takiego spotkało i panią Bukowską. To nam zakomunikowano publicznie. Nie mogłem pojąć na czym polegały błędy i winy mojej ukochanej wychowawczyni. Przecież uczyła mnie, jak postępować w sposób prawy i uczciwy. Była kobietą nieskazitelną. Dlaczego zwolniono ją z pracy? Na jej miejsce przyszły zetempówki, świeżo po szkole pedagogicznej. Zgodnie z rozporządzeniem nowego kierownictwa Domu Dziecka, mieliśmy zwracać się do nowych wychowawczyń per koleżanko, a nie

pani. I od tej pory mówiłem: „Koleżanko Stasiu, higienistka szkolna kazała powiedzieć koleżance, że mam koszulę brudną jak onucę i najwyższa pora, aby ją zmienić na czystą”. Kiedy indziej meldowałem innej smarkatej wychowawczyni: „Koleżanko Danuto, skończyły mi się zeszyty, mogę już pisać tylko na ławce”.

Po kilku miesiącach doszło do takiego bezhołowia, że władze zwierzchnie zarządziły zmiany. Nowym kierownikiem Domu Dziecka został Jan Kos.

To odrębny rozdział w życiu Bronka. Kos uważał się za Makarenkę i zaczął odpowiednio urabiać małego człowieczka.

*

Stara kamienica, mroczny korytarz. Pokój z kuchnią. Tu mieszka Bukowska, dawna wychowawczyni Bronka. Ciężko chora na serce, dożywa chyba ostatnich dni.

– Bronek, proszę pana, to jest mój wyrzut sumienia...

– Czyżby? Chyba winą za jego losy trzeba obarczyć innych.

– Po zwolnieniu z pracy w Domu Dziecka próbowałam się z nim kontaktować i mieć wpływ na jego wychowanie. Przyszli do mnie dwaj panowie z ostrzeżeniem, żebym tego zaniechała, bo w przeciwnym razie syna wyrzucą ze Szkoły Morskiej. Uległam ich groźbie. Kto wie, czy ten moment nie przesądził o jego zmarnowanym życiu.

– Ale zajął się nim przecież kierownik Kos...

– Kos był człowiekiem może i dobrej woli, ale rozpierała go ambicja i traktował swoją funkcję kierownika i wychowawcy Domu Dziecka jako szczebel w karierze. A poza wszystkim ten człowiek miał głęboko skryte kompleksy i usiłował je rozładować w postępowaniu z Bronkiem. Czy pan wie o tym, że on sam był człowiekiem niewiadomego pochodzenia? To, czego nie mógł ustalić o sobie jako o pod-

rzutku, starał się rozwikłać w przypadku Bronka. Obsesyjnie dążył do znalezienia mu rodziców, czy choćby dalekich krewnych. Stąd wciąż rozpuszczał wici, ponawiał komunikaty PCK w Skrzynce Poszukiwań Rodzin, dawał anonsy w prasie i radiu. Przyjeżdżali przeróżni ludzie, poszukujący swoich zaginionych dzieci. Bronek żył ciągłą nadzieją i raz za razem doznawał zawodów. Kto na niego tylko popatrzył, ten zaprzeczał, że to jego syn. Było wiadomo, że poszukiwania od dawna są już całkowicie beznadziejne, bo myśmy wyczerpali wszystkie rozsądne możliwości znalezienia jego najbliższych, czy nawet dalekich krewnych.

– Ale Kos zapewne liczył na jakiś niezwykły zbieg okoliczności, szczęście...

– O, tak! On, wojujący ateista, posunął się nawet do tego, że wyraził zgodę, aby Bronek wyruszył z pielgrzymką pieszą do Częstochowy w intencji odnalezienia matki. Ostatni odcinek trasy chłopiec przeszedł na kolanach, służył do mszy świętej, miał niezwykłe wizje, czy też rodzaj halucynacji. To był dla niego ogromny wstrząs, załamanie się wszelkiej nadziei.

– Czy to zdecydowało, że Bronek przestał wierzyć w Boga?

– Wiarę tracił etapami. Doznał zawodu, kiedy z powodu kalectwa miał przekreśloną możliwość wstąpienia do seminarium duchownego, gdyż nosił się z takimi zamiarami. Dyskutował z księdzem, że to niemożliwe, aby Chrystus odrzucał kalekich jako głosicieli swej wiary.

– Na czym polega klęska Bronka?

– Stracił w życiu jakieś oparcie. Kos mu go nie dał. Sam zresztą przeżywał jakieś wahania, odwrót od wyznawanej ideologii. Nie chcę go osądzać, ale wiem, że zaczął zbijać pieniądze i żyć ponad stan. Czy taki człowiek mógł stanowić moralne oparcie dla kogoś, kto wokół siebie czuł tylko pust-

kę, nie miał przecież nikogo z bliskich. Jego jedyną własnością była dosyć sztucznie skonstruowana biografia i chęć pasowania na bohatera, symbol martyrologii Zamojszczyzny. Doprawdy, bardziej na co dzień było mu potrzebne ciepłe słowo i czysta koszula.

Nie bardzo wiem, o co jeszcze pytać. Pani Bukowska prosi mnie, abym namówił Bronka do odwiedzenia jej. Chce mu przekazać coś na drogę życia, a na co dzień też ma do zaofe-rowania trochę bielizny, ubrań, środków higieny osobistej.

*

Przed domem parafialnym, na ławeczce, w otoczeniu krzewów i kwiatów, gawędzę z księdzem. Przez pewien okres był duchowym przewodnikiem Bronka.

– Szukam odpowiedzi, gdzie tkwią źródła dramatu? Ksiądz go znał jako chłopca, był chyba jego powiernikiem.

– Moja odpowiedź nie będzie po pańskiej myśli. Odwrócił się od Boga – i to jest główna przyczyna. Przyjął pierwszą komunię, dłuższy czas opiekowała się nim pani Bukowska, ale on dostał się pod czyjeś inne wpływy i skończył w rynsztoku.

– Jak to było z jego planami wstąpienia do seminarium duchownego?

– Nie chciał zrozumieć, że są pewne wymogi, jakie stawia się kandydatom do stanu duchownego. Fizycznie nie mogą być upośledzeni; to jest zrozumiałe i oczywiste. Ale on z tego próbował robić problem: dowodził jak to jest nieludzkie i krzywdzące. Kwestia urastała do jakichś monstrualnych rozmiarów. Kierował zarzuty przeciwko Kościołowi i wierze, wciąż dowodząc, że Chrystus tak by nie postępował wobec osób poszkodowanych fizycznie.

– Czy ksiądz nie próbował go zawrócić ze złej drogi, podać mu ręki?

– Miałem z nim przed laty dziwny incydent. Ubrał komżę będąc podpity i próbował służyć do mszy. Ministranci poczuli jednak od niego odór alkoholu i dali mi znać.

– Jak ksiądz zareagował?

– Przemówiłem mu do słuchu: „Łajdaku, ołtarz chciałeś pokalać. Precz sprzed moich oczu! Poniewieraj się po rynsztokach, ale wara ci tu przychodzić".

– I to wszystko?

– Tak.

– Ksiądz jest górą, tak, na pewno – mówię z ironią.

– Jak mam to rozumieć?

– Bronek wala się po rynsztokach.

*

Scena pogrzebu Bukowskiej na starym cmentarzu zamojskim. Ksiądz odprawia ostatnie egzekwie, grupa ludzi stoi nad grobem; wieniec od podopiecznych Domu Dziecka.

Słowa pożegnania jednego z wychowanków:

– Dla nas sierot byłaś prawdziwą matką. Dzięki tobie mieliśmy dom. Nie zapomnimy, że pierwsza okazałaś nam serce i uczyłaś dobroci. Dziękujemy – rzuca grudkę ziemi na trumnę spuszczaną na linach do wykopanej mogiły.

Uczestnicy pogrzebu składają kondolencje synom Bukowskiej. Niebawem rozchodzą się. Nawiązuję rozmowę z wychowankiem Bukowskiej, żegnającym zmarłą w imieniu kolegów z Domu Dziecka.

– Dlaczego Bronka nie było na pogrzebie? – pytam.

– Chyba gdzieś leży w rynsztoku...

– Pan ma z nim jakiś kontakt?

– Zrobiłem mu w domu zasuwy, żeby się mógł zamykać.

– Dziękuję.

*

Ławka w parku zajmowana przez Bezimiennego, gdy lęka się nocą diabła w swoim mieszkaniu. Bronek ma rozbitą twarz, wygląda jak męczennik, ofiara losu, ktoś bardzo poniżony i biedny. Ćmi papierosa i ta czynność zdaje się być widomą oznaką jego życia.

– Gdzieś był?

– Nie wiem – wzrusza ramionami.

– Już po pogrzebie Bukowskiej.

– No i co?

– Nic jej nie byłeś dłużny?

– Mam się powiesić?!

– Nie, iść na cmentarz.

– Po co?

*

Spotykam się z panem Zygmuntem, byłym wychowankiem Bukowskiej. To on przemawiał nad jej mogiłą. Kosa ocenia inaczej.

– Nie, to nie karierowicz. Ideowiec, fanatyk, człowiek pełen poświęcenia. Sam w życiu doznał wiele goryczy i dlatego próbował zbawiać na swój sposób innych, chcąc im przychylić nieba. Oczywiście, nieba budowanego na ziemi.

Pan Zygmunt zna pewne sprawy niejako od środka, gdyż był aktywistą ZMP. Chyba jako jeden z pierwszych znalazł się pod ideowym oddziaływaniem Kosa.

– Bronek miał w sobie naiwność i nie potrafił się wobec nikogo i niczego zdystansować. Lgnął do Kosa, jak mucha do lepu. Ja w porę zdołałem się wycofać i pójść swoją drogą. Mnie zawsze jakoś udawało się pozostawać sobą – tłumaczy, jak filozof czy psycholog.

– Kiedy po raz pierwszy spróbował Bronek wódki?

– Debiutowaliśmy razem. Na apel „Sztandaru Młodych”, aby pomagać w żniwach pegeerom, wybrała się nas cała gru-

pa z Domu Dziecka w Szczecińskie. Bronek był pomocnikiem kombajnisty, poruszał rączką do wyrzucania słomy. Zajęcie w sam raz na jego siły. Gorzej mu szło, gdy ustawialiśmy snopki za snopowiązałką. Kierownictwo pegeeru było zadowolone z naszej pracy, dyrektor nas namawiał do rzucenia szkoły i pozostania, tłumacząc że wszyscy się uczą i nie ma komu pracować w uspołecznionym rolnictwie. Zarobiliśmy sporo pieniędzy. Po wypłacie kombajnista nadstawiał kapelusza i zbierał składkę dożynkową. Dożynki odbywały się na wolnym powietrzu. Na honorowym miejscu przy stole, naprzeciw ustawionego wieńca dożynkowego, siedział dyrektor. Było wiele jedzenia, ale jeszcze więcej wódki. „Pij, przecież musisz kiedyś zacząć" – zachęcał Bronka kombajnista i pokazywał mu, jak to się robi. Podobnie rzecz się miała z nami. Pierwszy kieliszek był ohydny, potem szło już prawie bez oporu. Ale Bronek nie wytrzymał tempa. Ktoś odprowadził go w krzaki. Słyszałem radę kombajnisty: „Rzygnij i znów będziesz pił..." Po nim powtarzał to każdy z nas. Leżałem na trawie, świat kołował mi przed oczyma, widziałem, jak między ucztującymi wybuchła bójka: walono się pięściami i butelkami, przewracano stoły, a nie wiem dlaczego wciąż grała muzyka – to taki Grunwald dożynkowy.

Tak wyglądał chrzest alkoholowy Bronka. Potem już poszło dość gładko: pracował w PKS-ie, na portierni w hotelu, w kaflarni, a tam okazji nie brakowało...

– Ale pan się nie rozpił, dlaczego?

– Miałem oparcie w rodzonej siostrze, starszej ode mnie. A ponadto zawsze ktoś w porę podawał mi rękę. I byłem zdrowy, silny, sport trzymał mnie w dyscyplinie: śrubowałem ciągle wyniki. Ale swoje w życiu przeszedłem...

*

Na obrzeżu osiedla, tam, gdzie założono park, na ławce koczuje mały człowieczek. Głowa wtulona w kolana, twarz przesłonięta rękoma.

– Chodź do domu – trącam go łokciem.

– Nie! – sprzeciwia się gwałtownie.

– Co, boisz się wędrującej głowy?

– Tak.

– Gwarantuję, że jej nie będzie.

– Skąd taka pewność?

– Diabeł przychodzi nocą.

– O, tak, w tym punkcie ma pan rację – przytakuje i zwleka się z ławki.

Idziemy w milczeniu. Raz po raz ktoś zwraca na nas uwagę – mały człowieczek jest obiektem stałego zainteresowania.

Przed domem znowu opanowują Bronka lęki. Przystaje i nasłuchuje wystraszony. Z góry dochodzą odgłosy pijatyki.

– Słyszysz, co to za duchy goszczą w twoim mieszkaniu?

– Kumple.

– Dlaczego dałeś im klucz?

– Weszli sami, bo drzwi nie zamknąłem.

Ciągnę za sobą Bronka do mieszkania. Energicznie otwieram drzwi i podniesionym głosem rozkazuję ucztującej ferajnie:

– Proszę natychmiast stąd się wynosić!

Porozumiewawcze spojrzenia, spuszczone głowy, chęć umknięcia.

– Przepraszamy, panie prokuratorze – mówi jeden z pijaków.

Mieszkanie pustoszeje. Otwieram okno i wietrzę pokój.

– To jednak jest pan prokuratorem – odzywa się Bezimienny.

– Jak ty biskupem – ripostuję.

Bronek lękliwie lustruje pokój. Obawia się, że jednak wyłoni się głowa i zacznie do niego mówić.

– A kysz! – wykrzykuje.

– Co ci się przywidziało?

– Nie, to na wszelki wypadek.

Czymś znowu się pożywiamy. Bronek wyjmuje starannie przechowywane fotografie, głównie grupowe, robione przy różnych okazjach w Domu Dziecka. Sceny ze spotkań gwiazdkowych, wizyty Mikołaja, nazywanego w latach pięćdziesiątych Dziadkiem Mrozem, akademie ku czci, wieczorki artystyczne, przedstawienia teatralne.

Odkładam portret Bezimiennego w ZMP-owskiej bluzie i czerwonym krawacie. Pytam, jak to się stało, że trafił do organizacji. Podkreśla, że za sprawą kierownika Kosa. Zapamiętał na całe życie słowa rekomendacji:

„Jest wśród kandydatów na członków ZMP ktoś, kto w sposób wyjątkowo bolesny i dramatyczny doznał na sobie skutków wojny. To Bronisław Bezimienny. Stracił wszystko: rodziców, krewnych, imię, nazwisko, datę i miejsce urodzenia.

Jego życie w Polsce Ludowej jest przykładem, jak stopniowo, krok za krokiem to dziecię wojny odzyskuje straconą szansę swojego pokolenia".

Bronek wspomina:

– W poczet organizacji przyjęto mnie jednomyślnie. Gratulacjom, uściskom nie było końca...

Pokazuje mi amatorskie zdjęcie, przedstawiające jedną z ekip młodzieżowych, wyruszającą na wieś. Przed budynkiem Zarządu Powiatowego ZMP stoi odkryta ciężarówka, pełna chłopców. Widać transparent z mało czytelnym hasłem.

Ktoś pomachuje ręką zetempowcom, wyruszającym na akcję.

– To Kos – wyjaśnia Bronek.

– A ty, gdzie jesteś?

– Zabawiam się w dyrygenta; to widać – wskazuje na odwróconą bokiem sylwetkę chuderlawego chłopczyny z uniesionymi rękoma. – Śpiewaliśmy słowa pieśni:

Budujemy nową Polskę,
Budujemy taki świat,
W którym wszystko będzie lepsze,
W którym będzie nowy ład.

Zetempowcy z Domu Dziecka pomagali w wykopkach jednej z nowo powstałych spółdzielni produkcyjnych. Bronek nie chciał być gorszy od kolegów. Sumiennie zbierał za koparką najmniejsze nawet kartofelki, wysypując je z koszyka na kopiec. Pod koniec pracy doznał krwotoku. Do szpitala odwiozła go karetka pogotowia. Zdarzenie to przemilcza.

Oglądam zdjęcia Bronka z Zakopanego i Rabki. Leczył tam gruźlicę. Grupy kuracjuszy fotografowały się na tle budynku sanatoryjnego; wśród nich miniaturka mężczyzny. To Bezimienny. Zrobił też sobie kilka ujęć portretowych w stroju góralskim. Raz występuje w towarzystwie owczarka z niedźwiedziem.

Zdjęcia z turniejów szachowych. Bronek zasiada przy stoliku z zegarem. Ktoś mu składa gratulacje; dostaje dyplom: stoi z pucharem.

– Jak Capablanca nauczyłem się grać w szachy tylko przez obserwację. To było w Zakopanem. Grali dwaj panowie. Śledziłem uważnie ruchy figur i wiedziałem, na czym polega ta królewska gra. Pobiegłem do świetliczanki, poprosiłem o szachy i bez trudu udało mi się odtworzyć rozegraną partię. Przedtem szachami się nie interesowałem. W sanatorium nie miałem sobie równych. Zacząłem grać w turniejach. Także z powodzeniem. Gdybym miał menedżera to zrobiłbym międzynarodową karierę, a tak to skończyłem na sukcesach wojewódzkich.

Bronek pokazuje mi wycinki z gazet, odnotowujących

turnieje, w których uczestniczył i zdobywał czołowe lokaty. Później przestało być o nim głośno. Podobno nikt nie chciał inwestować w kalekę – nawet przy stolikach szachowych brano pod uwagę prezencję. Prysł mit o karierze typu Capablanki, kubańskiego wirtuoza gry pozycyjnej.

– Chodźmy do pana Kosa. Chciałbym go poznać; to przecież twój ojciec duchowy.

– Nie wiem czy chce mnie oglądać. Pan Kos przechodzi na drugą stronę ulicy, jak mnie zobaczy. Chyba uważa, że jestem trędowaty.

*

Willa na obrzeżu miasta. Z wyglądu przypomina zabytkową twierdzę. Jakaś przedziwna mieszanina stylów: niby gotyk, jakby barok, coś z orientu. Nowobogackość kłuje w oczy.

Na podwórzu wylegują się dwa dobermany. Dzwonię, ale nikt nie reaguje.

– Pewnie go nie ma w domu – mówię.

– Chyba odsypia bankiet – zauważa Bronek.

Na werandzie willi pojawia się mężczyzna przed sześćdziesiątką. Podchodzi do bramy. Młodzieńczy sposób ubierania się: dżinsy, bluza, adidasy.

– Dzień dobry, panie kierowniku – pozdrawia go Bronek.

– Ty cholerny karaluchu, co cię tu przygnało?

– Pan redaktor ma interes – wskazuje na mnie.

Kos naciska jakiś guzik w bramie. Odzywa się dzwonek alarmowy i furtka stoi przed nami otworem.

Pan na willi prosi nas do pomieszczenia à la bufet. Siadamy na wysokich stołkach, opierając się o półowalną ladę.

– Napoleona czy Camusa? – pyta Kos. – A ty, łapserdaku, to pewnie wolisz denaturat?

– Może być jakiś sok – zakrywam ręką pucharek.

– Karaluchu, bierz przykład z redaktora – nalewa mi soku pomarańczowego z dużej butli firmowej „Dodoni".

– Co tu pana do mnie sprowadza?

– Los pana podopiecznego.

– Dawne to lata, o czym tu mówić.

– Nic co ludzkie, nie powinno być nam obce...

– Niech mi pan tyłka nie zawraca.

– Ale to są pryncypia, którym powinien pan być wierny.

– Panie, na ideologii to ja się dorobiłem dziur w płucach. Po październiku pięćdziesiątego szóstego roku byłem bez pracy. Kilka razy mnie rozliczano. Od nasiadówek dostałem hemoroidów, a z tego wszystkiego wychodziło gówno.

– Ale teraz to się pan odkuł za wsze czasy – nie spuszczam z tonu.

– Pan też może babrać się w glinie – odpala. – Zresztą, co tu wiele mówić, pokażę wam mój interes.

Wychodzimy z bufetu na podwórze. Kos otwiera drzwi garażu, w którym stoi mercedes. Nawet mu do twarzy za kierownicą wytwornego auta. Sadowi mnie obok siebie. Z góry patrzy na małego człowieczka, wskazuje miejsce z tyłu i posyła pod jego adresem kąśliwą uwagę:

– Dziękuj Bogu, że nie siedzisz w bagażniku.

W okamgnieniu jesteśmy poza miastem. Mercedes kołysze się jak krążownik na falach. Po obu stronach szosy zdają się płynąć łany zbóż i bujne trawy na łąkach.

– Karaluchu, pamiętasz, jak cię kiedyś wiozłem? – odzywa się Kos, rozparty niczym lord.

– O, nigdy tego nie zapomnę!

Słucham opowieści o tym, jak to pan kierownik zabawiał się w prelegenta, jeżdżąc do okolicznych wsi rowerem. Na ramę sadowił Bronka, który jako pierwszy dla ośmielenia słuchaczy zabierał głos w dyskusji. Głosili wyższość kolektywnej gospodarki nad indywidualnym rolnictwem. Po pre-

lekcji zwykle salwowali się ucieczką. Kos pedałował, ale koła stały prawie w miejscu, bo przebijano dętki w rowerze.

– Pan mnie uświadamiał, że to sabotaż, wróg nie śpi – zaostrza się walka klasowa, jak uczył towarzysz Stalin.

– Głupoty.

– Co?! Pan kierownik przekonywał mnie, że to święta prawda.

Kos krzywi się. Bronek dotknął jego czułej struny.

Zbiera się na burzę. Groźne chmury na niebie, jakiś niepokój wisi w powietrzu – widać to z okna mknącego mercedesa.

Kos peroruje:

– Ludzie interesu jak ognia boją się prasy. A ja przeciwnie. Prasa może pisać o mnie nawet źle, byleby pisała... Przekonałem się, że rozgłos w prasie, zły czy dobry, można odpowiednio wykorzystać. Tak, wykorzystać, nawet w biznesie. Po reportażu radiowym „Za burtą" los się do mnie uśmiechnął. Z dość wysokiego szczebla trafiłem do klinkierni, do najczarniejszej roboty. Spod wozu się jednak wydostałem i znów jestem na powierzchni. Trzeba mieć siłę przebicia. Goszczenie na łamach prasy, w radio, nie mówiąc o telewizji, ogromnie w tym pomaga.

– Jak komu... – odzywa się Bronek.

– Poleciłem go pańskiemu przyjacielowi. Okazja nadarzyła się znakomita – dwudziestolecie pacyfikacji Zamojszczyzny. Uroczystości były zakrojone na szeroką skalę. Zaprogramowaliśmy go należycie, do końca życia mógł być żywym symbolem martyrologii. Występował w roli bohatera na łamach prasy, w Kronice Filmowej. Reportaż pańskiego przyjaciela „Nazywam się Bezimienny" zrobił furorę, bardziej niż ten o mnie „Za burtą". Przecież nie znajdzie ze świecą kogoś drugiego, kto by o sobie nic nie wiedział z dzieciństwa. Wszystko w biografii miał stworzone sztucznie: nazwisko,

datę i miejsce urodzenia, rodziców – mówi Kos z uniesieniem.

– A bohater? – pytam.

– Przekreślił, zaprzepaścił wszystko...

– Nazywam się Bronisław Bezimienny, bo nikt nie znał nazwiska moich rodziców, nawet najdalszych krewnych. Nie znam matki, nie znam ojca, nie znam rodzeństwa, które chyba miałem. Biografię mojego życia stworzyła wojna – powtarza treść nagrania o sobie mały człowieczek.

– Dureń z ciebie, po stokroć dureń! – wykrzykuje Kos. – Chciałem go wykierować na księgowego, ale do matury go nie dopuścili, bo nie wiedział, jak odróżnić „winien" od „ma". To już był rozgardiasz październikowy i na nic się zdała moja rekomendacja, że to nie jest jakiś tuzinkowy uczeń, ale dziecko wojny, symbol martyrologii Zamojszczyzny... Myślę sobie: dać go do nauki krawiectwa, ale co się tylko nachyli nad materiałem to mu krew z nosa leci na stuprocentową wełnę lub filafil. I majster poradził mi, abym go pchnął do innego fachu... Dałem go do kaflarni. Znów był za słaby, aby podawać kafle do pieca. Także długo miejsca nie zagrzał... Po skończeniu osiemnastu lat stracił prawo pobytu w Domu Dziecka. Nie wiedział, co ze sobą zrobić. Dałem go w opiekę pewnemu działaczowi szachowemu. Dostał pokoik sublokatorski w jego domu, ale zamiast się podkładać i przegrywać, łoił mu skórę i działacz się go pozbył... Pracował w hotelowej recepcji. Były skargi, że sam ze sobą gra w szachy. Na domiar złego dał się omotać jakimś sutenerom i wpuszczał do pokoi „mewki" z ich klientami. No i była sprawa, wyrok w zawieszeniu... Udało mi się załatwić mu kawalerkę, aby się nie tułał po sublokatorskich pokoikach. I taką szansę zaprzepaścił, bo w jego mieszkaniu zrobiła się speluna. Inni śpią w jego łóżku, a on na podłodze...

– Jakoś nie chwytał wiatru w żagle – wtrącam.

– Mięczak, bez siły przebicia – mówi z przekąsem.

– A pan?

– Ja to jestem Wańka-Wstańka. I cały czas do przodu!

– Pan ma jednak do niego słabość...

– Jestem dla niego za dobry i dlatego wyrządzam mu krzywdę. Tymczasem z nim trzeba ostro, bez litości i cackania się.

Mercedes pokonuje wzgórza Roztocza. Krajobraz coraz bardziej malowniczy. Skłębione chmury na niebie przydają mu grozy.

Bronek najpierw drzemie, a później zasypia. Śpi jednak niespokojnie, z rozwartymi szeroko ustami, rzuca się na siedzeniu... czochra.

Kos zerka z niepokojem w lusterko. Widzi, jak wędrują Bronkowe wszy. Hamuje dość gwałtownie. Odwraca się i wrzeszczy:

– Skurwielu, wynoś się!

Wyskakuje z auta, otwiera tylne drzwi, wyciągając na wpół osłupiałego Bronka. Zrywa okrycie z siedzenia i wyrzuca z obrzydzeniem na pobocze drogi.

– Dezynfekcję, dezynsekcję i deratyzację wozu muszę teraz przeprowadzać – wścieka się.

– Przepraszam, panie kierowniku – bąka mały człowieczek.

– Gówno mnie twoje przeprosiny obchodzą – trzaska drzwiami, zapuszcza gwałtownie motor i mknie, pozostawiwszy Bronka na opustoszałej szosie.

Biją pioruny. Robi się ciemno, strugi wody leją się z nieba, jakby nastąpiło oberwanie chmury. Kos zatrzymuje mercedesa.

Zrywa się wicher i wyje, jak szalony. Wściekłe jego podmuchy usiłują porwać samochód i przekoziołkować.

– Niech pan spróbuje zawrócić, tam został Bronek.

– Ja nigdy w życiu nie zawracałem. Moja dewiza: zawsze do przodu! Zresztą, teraz byłoby szaleństwem jechać.

Czekamy z pół godziny. Burza przewala się nad okolicą. Spoza chmur wyłania się słońce w aureoli ogromnej tęczy.

Kos rusza z kopyta mercedesem. Mijamy granicę zamojskiego i jesteśmy w nowym województwie.

– Oto jest moje królestwo – ręką wskazuje Kos cegielnię i podjeżdża łagodnie pod stojący obok komina drewniany barak.

Wrę praca. Z wielkiego wyrobiska dźwig podaje na wagoniki glinę. Małe, kucykowate konie ciągną na trzykółkach surówkę na składowisko – rzędy długich, wąskich szop tylko zadaszonych.

Trwa wyjmowanie cegieł z pieca, układanie ich w wózki i taczki, transport do ustawionych obok samochodów.

Ciągły ruch, jakaś mrówcza krzątanina. Pojawienie się Kosa jeszcze przyspiesza tempo pracy.

– To wszystko gra, jak w szwajcarskim zegarku, choć nie zatrudniam aniołów. U mnie jest wydajność amerykańska – podkreśla z dumą.

– Gratuluję! Ale wydaje mi się, że ten wspaniały warsztat pracy jest, mimo wszystko, tylko jakąś namiastką dla pana.

– Pan Bóg stworzył z gliny człowieka, ja robię tylko cegłę. No i oczywiście pieniądze.

– W tej idylli – podpowiadam – brak mi tylko Bronka.

– O, tak, jego mi tu tylko trzeba – odpowiada ironicznie Kos.

*

Niepokoiłem się, co stało się z Bronkiem po tym, jak Kos wyrzucił go z mercedesa, pozostawiając na szosie.

Dokonałem rekonstrukcji zdarzeń, opierając się na późniejszej opowieści Bronka.

Wyrzucony z luksusowego auta sterczy na szosie. Zaczyna padać deszcz, przechodząc w ulewę. Bronek przykrywa się pokrowcem, jak namiotem. Przykucnąwszy zapada w jakiś półsen. Pojawiają się obrazy, zrazu nieostre, przymglone, ślad przeżyć z dzieciństwa. Potem widzi niemal film z własnego życia, sceny o silnej wymowie moralnej, zatrzymane kadry, pełne dialogi...

Zmasowana zieleń, jakby las, ale dosyć odrealniony. Nieostre kontury domu i widok wnętrza. Stoi choinka, cała wystrojona, świąteczna. Każda gałązka, każda zabawka, każde świecidełko widziane jakby z oddali. W choinkę wpatrują się dzieci. Między nimi piłką bawi się chłopiec, wyraźnie mniejszy od tej dwójki. Scena idylliczna, sielska. Przesącza się z niej łagodny spokój, niczym nie zakłócona cisza. Bronek pragnie, aby to trwało jak najdłużej. Ale nagle rozlega się detonacja, jakby wybuch bomby, potem zgrzyt, jęki.

I – przerwa. Jakiś pusty obszar – nic nie widać. Głucha, dudniąca cisza.

Barak zamiast tamtego domu. Długi, szary. Wejście z dwu przeciwległych stron. Korytarz. Wiele łóżek, całe ich rzędy. Zewsząd głosy układające się w płacz, jęki, krzyki. I chwilowe uspokojenie – jakby w oczekiwaniu czegoś ważnego. Wędruje kocioł – wyciągają się ręce z miskami po zupę.

Potem z tego tumultu wyłania się kobieta o ledwie zarysowanych konturach, trzyma małe dziecko na rękach. Przyczaja się pod barakiem i rozgląda. Obserwuje wartowników. Żołnierze z karabinami przechadzają się wzdłuż linii drutów. Obrazy są bardzo dalekie, przymglone.

I nagle kobieta biegnie do drutów i przerzuca dziecko na kopiec ziemniaków po drugiej stronie.

Wartownicy ją dostrzegają. Mierzą z karabinów do niej – nim pada pierwszy strzał, a potem drugi, Bronek woła ostrzegawczo: „Mamo, mamo, mamo!”...

Podwórze Domu Dziecka. Chłopcy uganiają się za piłką. Na poboczu boiska siedzi Bronek i przygląda się ich harcom. Kalectwo wyeliminowało go już z normalnego życia – stał się obserwatorem.

Podchodzi do niego Bukowska, gładzi chłopca po głowie i mówi ciepło:

– Chodź, wstąpimy do parku.

Park w wiosennej szacie. Spokój i harmonia przy odradzaniu się życia w przyrodzie.

– Kiedy patrzę na świat, zawsze podziwiam jego urodę. I myślę o Bogu, który to piękno stworzył – mówi w uniesieniu Bukowska.

Chłopiec słucha ze zwieszoną głową.

– Rozmawiałam z księdzem proboszczem: wie już o tobie wszystko. Zgodził się, abym przygotowała cię do pierwszej komunii.

– A po co? – pyta hardo Bronek.

– Widzisz, wiara w Boga bardzo pomaga w życiu. Chrystus i Matka Boska zastąpią ci prawdziwych rodziców.

Chłopiec się ożywia, patrzy w oczy wychowawczyni z jakąś nadzieją i ufnością.

– Broneczku, dam ci katechizm – wręcza chłopcu niewielką książeczkę.

Potem ów uroczysty dzień. Bronek w ubranku przypominającym mundurek, białej koszuli z wykładanym kołnierzykiem, wstążeczką u piersi przystępuje do komunii. Obok modlą się klęcząc Bukowska i dwaj jej synowie.

Po nabożeństwie idą całą czwórką do domu. Wspólny posiłek. Między nimi jest jakiś rodzaj zespolenia, rodzące się uczucie więzi duchowej.

Gorąca prośba Bukowskiej:

– Bronuś, synku, wszystko w życiu możesz stracić, ale wiary nie wolno ci się wyzbyć.

Inna scena. Bezimienny w pokoiku Kosa. Warunki niemal prymitywne – kubeł, miednica, para ręczników. Na czymś w rodzaju etażerki – słoiki ze smalcem i marmoladą, obok pół bochenka chleba. Na stole piętrzą się książki; honorowe miejsce zajmują klasycy marksizmu-leninizmu.

Kierownik Kos chodzi po pokoju nerwowym krokiem i spogląda na Bronka, siedzącego na taborecie.

– Zdradzę ci moją tajemnicę, bo między nami, Bronek, nie powinno być tajemnic. Byłem zwykłym podrzutkiem. Ty też nie masz rodziców, ale ich miałeś, nie mówiąc o martyrologicznej karcie w życiorysie: jesteś dzieckiem pacyfikowanej Zamojszczyzny.

Chłopiec słucha, jak osłupiały. Nie wie, co to wszystko ma znaczyć.

Kos bierze ze stosu książek tom „Kapitału".

– Od tego dzieła rozpoczął się nowy okres w dziejach świata – głosi z uniesieniem. – Zaczęło się obalanie niesprawiedliwości i krzywdy. Na tym polega wielkość tych idei. Zobaczysz, opanują świat i w życiu zatriumfuje dobro i pokój.

Bronek jest poruszony tym, co mówi kierownik Domu Dziecka. W jego oczach pojawiają się błyski nadziei i oczekiwania.

Mały człowieczek spotyka Kosa na ulicy, jak ten zmierza do Zarządu Powiatowego ZMP.

– Gratuluję awansu, panie kierowniku – ściska mu dłoń, pochylając nisko głowę, jakby chciał go ucałować w rękę.

– Co, już się rozniosło po mieście?

– O, tak – mówi z podziwem Bronek.

Zrywa się wichura i omal nie porwie małego człowieczka. Bronek kuli się i przyciska do ziemi, kurczowo trzymając na sobie pokrowiec.

Znów, jak na filmie, widzi przed oczyma kolejne obrazy.

Okres po październiku 56 roku. Bronek zachodzi do Kosa, wdrapując się po schodach na jakąś mansardę.

– Nie dopuścili mnie do matury. Kto wie, czy to nie był odwet za pana kierownika, że się pan o mnie wykłócał, straszył radę pedagogiczną. Co ja mam teraz robić?

– Musisz się usamodzielnić – odpowiada, pitrasząc coś na elektrycznej maszynce.

– Chwyć się za jakąś robotę, skończ wieczorówkę.

– Nie mam gdzie mieszkać, wymówiono mi miejsce w Domu Dziecka – żali się.

– Nie ty jeden jesteś bez kawałka kąta... Widzisz, już wyniosłem się od eks-małżonki. Niech sobie żyje z tym forsiastym facetem, mnie z nią nie po drodze – sączy jadowite słowa. Dopóki znaczyłem coś w powiecie, to byłem dla niej dobry. Ale jak wypadłem za burtę, to poszukała sobie innego. O, jeszcze będę na świeczniku, zobaczy, pozazdrości, będzie żałować i pluć sobie w brodę. Łyso jej będzie, łyso... – odgraża się.

– Nie mam gdzie spać – mówi bezradnie Bronek.

– Znaj solidarność klasową: zamieszkasz u mnie, na kawalerce, tutaj na poddaszu.

Wicher wyje, jakby ktoś się powiesił. Pokrowiec przecieka, strugi deszczu leją się po plecach Bronka. Ale taśma z filmu jego życia znów się przesuwa.

Recepcja w hoteliku. Bronek jednym okiem zerka na gości, drugim na szachownicę, rozłożoną trochę z boku.

– Kurduplu, dawaj klucze, bo ci mordę skujemy – odzywa się, łypiąc okiem, jakiś oprych stręczyciel.

Mały człowieczek ulega. Po schodach na piętro suną prostytutki ze swymi klientami.

Do Bronka podchodzą dwaj cywile. Jeden okazuje legitymację.

– O Boże, co ja narobiłem! – krzyczy przez łzy.

Sala sądu. W asyście milicjantów jako oskarżeni siedzą Bronek i stręczyciel.

W imieniu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej Sąd Powiatowy... orzeka po rozpatrzeniu sprawy z artykułu... skazać oskarżonego Bronisława Bezimiennego...

Bronek budzi się z półodrętwienia. Biją pioruny. Wicher porywa pokrowiec. Mały człowieczek patrzy bezradnie na wzmagającą się burzę.

Szosą, jakby nigdy nic, jedzie wesele. Pod brezentowym baldachimem siedzą państwo młodzi, ubrani uroczyście. Gra muzyka, takt wybija bęben. Odnosi się wrażenie, jakby weselnicy nie dostrzegali burzy lub też nic sobie z niej nie robili.

Weselny korowód gwałtownie przystaje w miejscu, gdzie przykucnął Bronek. Dostojny, starszy mężczyzna zeskakuje pierwszy z wozu i pochyla się nad maleńkim człowieczkiem.

– Bracie – mówi z czułością.

– Jakiś ty dla mnie brat? – najeża się Bronek.

– Bracie – powtarza z powagą ów dostojny mężczyzna.

– Czego chcesz ode mnie? Ja nie mam rodzeństwa.

– Wszyscy jesteśmy braćmi – odpowiada.

– Bracie! – powtarzają wszyscy weselnicy, otaczający Bronka wieńcem.

– Jedź z nami na ucztę weselną – zaprasza go ten sam mężczyzna.

– Kim jesteście, do cholery? – mówi podenerwowany Bronek.

– Braćmi – odpowiadają chórem.

– Zrozumcie, nie mam nikogo z rodziny – wykłada im kawę na ławę.

– Za-pra-szamy – skandują weselnicy.

Mały człowieczek wśród oznak radości całego towarzystwa sadowi się na honorowym miejscu między panem młodym i jego oblubienicą. Konie ruszają z kopyta, gra kapela.

Orszak skręca w polny trakt. W dali widać wieś. Spoza chmur wygląda słońce.

*

Stoły w sadzie jabłoniowym. Bochny chleba, białe sery w kształcie serc, miód w plastrach, mleko i jakieś inne napoje w dzbanach czekają na weselników.

Goście przyjechali. Bronek, już wykąpany, w czystym, tyle że nieco za dużym garniturze, siedzi na honorowym miejscu obok państwa młodych.

Kulminacyjny moment uroczystości. Mistrz ceremonii, ów dostojny mężczyzna, mówi z powagą w głosie:

– W imię odwiecznych praw życia błogosławię wasz związek serc i dusz, życząc wam długich lat szczęścia. Niechaj miłość i dobro stale będzie waszym udziałem.

– Dziękujemy, żyć będziemy godnie – odpowiadają młodzi.

Bronek chłonie ceremonię. Rozpoczyna się uczta weselna. Goście spożywają chleb i ser.

– Cóż to za dziwne wesele – zauważa głośno Bronek. – Dlaczego tu nie ma wódki?

– Nasi bracia i siostry nie używają alkoholu – wyjaśnia mu mistrz ceremonii. – Nikt nie pali papierosów.

– I można tak żyć? – dziwi się mały człowieczek.

– Tak, mój bracie. Jeśli chcesz, możesz przystać do naszej wspólnoty.

– Mogę, co mi zależy.

– Jest jednak warunek: musisz publicznie wyznać swoje złe uczynki.

– Dobra, niech będzie.

– Skup się i przemyśl swoje życie.

Zapada długa chwila ciszy. Bronek myślami zagłębia się w swoich uczynkach. Robi rachunek sumienia.

– Mów to, co ci rozum i serce dyktują – poucza go mistrz ceremonii.

– Jestem taki samotny żagiel. Mój jedyny grzech to to, że polubiłem wódkę. I to od młodości. Mam słabą wolę i nie mogę oprzeć się kieliszkowi. Nie prowadzę życia intymnego, bo natura mnie upośledziła. Nie wiem, co to jest kobieta kochanka. Kocham tylko wódkę; to moja kochanka. Bywa, że przepijam całą swoją rentę. Wszystko, co w życiu robiłem złego, brało się z wódki. Więcej grzechów nie pamiętam i chyba nie mam.

– Przebaczamy ci, bracie – mówią chóralnie weselnicy. – I pomożemy ci żyć godnie.

Cisza w sadzie. Goście pogrążeni w radosnym uniesieniu.

*

Kosa chyba ruszyło sumienie i wszczął poszukiwania Bronka. Choć twierdził, że złego diabli nie wezmą, to jednak niepokoił się, co mogło się stać z małym człowieczkiem, który zniknął jak kamfora, zresztą nie bez jego winy. Po dłuższym czasie ktoś z mieszkańców bloku napomknął mu, że kłopotliwy sąsiad pojawił się i gościł u siebie szemrane towarzystwo.

Bronka spotkaliśmy z Kosem w parku. Siedział na ławce i zapijał się piwem.

– Gdzieś ty przez miesiąc melinował? – wziął go w obroty Kos.

– O, przepraszam, byłem niemal w zakonie. Przygarnęła mnie sekta, nazywająca się braćmi. Bracia ci żyją skromnie, uczciwie. Wszyscy są abstynentami. Takich cudaków jeszcze w życiu nie spotkałem.

– Coś tam robił?

– Pomagałem im trochę w polu, trochę w gospodarstwie. Miesiąc kropli alkoholu nie miałem w ustach.

– A teraz znowu pijesz.
– To widać, piję.
– Boisz się zwidów? Co, znów cię nawiedzają?
– Tak, zawsze nocą mnie straszą. Mały, brodaty diabeł zjawia się w moim łóżku i mówi: „Posuń się, posuń...". Ale, nie mam gdzie ustępować, bo dalej jest ściana.
– Masz jakiś sposób na diabła?
– Zastanawiam się, coś wymyślę – odpowiada głęboko przejęty.
– Słuchaj, załatwię ci miejsce w domu opieki – proponuje Kos.
– Ja mam swój własny dom! – wykrzykuje Bronek, wkłada butelki po piwie do siatki i udaje się do tego swojego domu w bloku.
Stoimy z Kosem na podwórku. Kłopotliwe milczenie.
– Co z nim robić?
– Jak był młodszy to mu radziłem: „Bronek, wstąp do zakonu". I pomyśleć: tak mówił ateista. Zdawałem sobie sprawę z tego, że dyscyplina zakonna dobrze by mu zrobiła. Dziś wiem na pewno: nie wytrzymałby długo w zakonie.
– Konkluzja?
– Życie go spisze na straty.

*

Zająłem się innymi sprawami. Ale wciąż trawił mnie niepokój o los Bronka. Wtedy otrzymałem telegram od Bezimiennego o pogrzebie Kosa. Zmarł na zawał serca. Nie mogłem uwierzyć, że to się stało. Był przecież tak żywotny, pełen sił, energii i pewności siebie. Krótko cieszył się willą, mercedesem, cegielnią, młodymi kobietami, których kilka przewinęło się przez jego niby lepsze życie, dybiąc na majątek.
– Nikt z bliskich mi już nie został – żali się Bronek, zapalając świeczkę na grobie byłego wychowawcy. Tracił jakiś

punkt oparcia. Kogoś, kto go znał i po swojemu rozumiał i lubił. Obu ich zresztą łączyło to samo – choroba sieroca, którą w różny sposób próbowali pokonać, gmatwając przeważnie swoje życie.

*

Małego człowieczka spotykam w sklepie „Veritasu". Zastanawia się, co kupić z dewocjonaliów. Wybiera wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej i krucyfiks.

– Powieszę to nad łóżkiem, aby diabeł nie straszył mnie nocą – tłumaczy.

– Nie wiem, czy to pomoże, jeśli nie przestaniesz pić.

– Diabeł nie zarządza Polskim Monopolem Spirytusowym, lecz państwo – mówi z tirumfującą miną.

– Bronek, to się źle skończy.

*

Karetka reanimacyjna przed blokiem. Pielęgniarze wynoszą nieprzytomnego Bronka. W mieszkaniu ślady straszliwej pijatyki – mnóstwo pustych butelek. Ręka małego człowieczka zwisa z noszy. W zaciśniętej kurczowo dłoni półlitrówka z resztką wódki; wypada na schodach z brzękiem i toczy się na parter.

Szpital. Nieprzytomny Bronek leży pod tlenem. Dostaje kroplówkę. Cały czas wokół niego biegają lekarze i pielęgniarki. Trwa walka o jego życie.

Lekarz informuje:

– Wylew jest rozległy. Jakie skutki pociągnie za sobą – nie wiemy. Robimy wszystko, co tylko jest w ludzkiej mocy, aby go uratować.

*

Bronek, po wylewie, bardzo podupadł fizycznie. Ma niedowład prawej ręki, kuleje i porusza się z pomocą laski. Osiwiał i zestarzał się.

Jako rekonwalescent nie pił. Ale szemrane towarzystwo znów zaczęło go nachodzić i na nic zdało się ryglowanie drzwi. Wrócił do jedynej kochanki swego życia – wódki. „Chleb i woda – nie ma głoda", powtarza, pozostawiając sobie tylko trochę pieniędzy na życie z pięciotysięcznej renty.

Zaprzestał gry w szachy; warunki mu na to nie pozwalają. Ale dla mnie robi wyjątek i jak kiedyś zasiadamy do partii, ustawiając zdekompletowane figury.

– Bez okularów nic nie widzę, a w okularach, chyba źle dobranych, wszystko potrójnie mi się ukazuje i mam trójwidzenie – usprawiedliwia się.

Umawiamy się, że będę mówił, na jakie pole ruszam i czym biję. Pamięć Bronka funkcjonuje dobrze i przebieg partii będzie miał w głowie. W tej sytuacji układ figur na szachownicy tylko mnie posłuży do orientacji w grze.

Gramy w szybkim tempie. Osiągam znaczną przewagę materialną i kiedy wydaje się, że powinienem pokonać Bronka, dostaję mata. Próbuję się zrewanżować, ale dwie następne partie też przegrywam.

– Bronek, nie wszystko jeszcze stracone – mówię mu, gdy pakuje figury szachowe do woreczka. – Sam widzisz, że potrafisz wygrywać.

Zwierza się:

– Nocą wciąż nęka mnie diabeł. Ale nie przychodzi już do mojego łóżka, bo na ścianie powiesiłem obrazek Matki Boskiej i krucyfiks. Teraz upodobał sobie łazienkę i kiedy tam jestem zawsze mnie kusi: „Powieś się, Bronek, powieś, dość już takiego życia..."

Katarzyna Kopińska-Gogłuska

PSIA DOLA

1

– Pyta pani, co ja mam przeciwko psom? – dziwi się Dziubińska. – Że za dużo tego, ale najbardziej, że obżerają człowieka. Mięsa im się zachciewa! W czasach, kiedy człowiek dla rodziny z trudem wystoi jakiś ochłap kartkowy.

Dziubińska wie swoje. Po sąsiedzku mieszka jedna wariatka z psem, jak cielakiem. Jeśli to prawda, że szczekający bydlak musi dostać dziennie tyle dekagramów mięsa, ile kilogramów waży, włos staje na głowie. Kartofli ponoć nie trawi, jarzyny kłują go w zęby, ryb nie został nauczony jeść za młodu. Ostatecznie raczy wziąć do pyska kaszę lub makaron, ale koniecznie z mięsem, a na deser ciasteczka wtranżala...

Inna sąsiadka latami cacka się z kundlem, paskudnym, aż obrzydliwość bierze. Łapy krzywe, ślepia jakieś zezowate, na brodzie kłaki, jakby był capem. Ta po prostu nałogowo wykupuje ludziom kaszę, żeby tylko upichcić swojemu pięknisiowi gulaszyk, do którego zawsze wystoi gdzieś koninę lub łój wołowy.

Dziubińska jest bardzo rozżalona na sąsiadki – psiary. Kiedyś, przed laty, chcąc harmonijnie ułożyć sobie z nimi współżycie, przyniosła jednej cały talerz kości z kury dla psa. Zamiast wdzięczności doczekała się dąsów: stworzenie ma

na takie kości za delikatny żołądek. Ostre kawałki mogą mu pokaleczyć przełyk i jelita. Coś takiego!

Najbardziej rozgniewała ją jedna babulka, co to z nędzy po śmietnikach szpera. Współczuła jej, bo serce ma miękkie. Aż tu okazało się, że stara szuka odpadków nie dla siebie, a dla sfory kundli-przybłędów. Wybiera kości, zepsute tłuszcze, resztki jarzyn, a nawet podkrada suchy chleb ze specjalnego pojemnika! Dziubińska, kiedy to wykryła, zaraz uczuliła na jawną grandę dozorczynię i teraz gonią kijem bezczelną staruchę. W ogóle, według Dziubińskiej, żywienie psa ma sens wyłącznie na wsi, gdzie przynajmniej ma się z tego jakiś pożytek. Tu stworzenia nie są grymaśne: z wdzięcznością wychłepcą z miski nawet skwaśniałą zupę, a w zamian upilnują obejścia. Co z tego, że wyglądają jak półtora nieszczęścia. Sierść zmatowiała i zmierzwiona, wzrok tępy, morda smętna. Pies ma służyć człowiekowi, a nie podobać się każdemu. Jeśli źle wygląda, jest widocznie stary. Człowiek też się zmienia z upływem lat.

Tak, nie da się ukryć, że pies, to stworzenie mięsożerne. Jednak mylące są wyliczenia, że skoro każdy pies zjada dziennie minimum piętnaście dekagramów mięsa, to rocznie pozbawia nas, ludzi, aż pięćdziesięciu pięciu kilogramów tego deficytowego artykułu spożywczego, więcej niż wynosi kartkowy przydział dla pracującego fizycznie robotnika. Jeśli nawet nieliczne grono psiej superelity dostaje porcje większe i nawet z dobrego mięsa wołowego, to większość musi zadowalać się resztkami z ludzkiego stołu, nieprzydatnymi odpadkami lub prowadzi żywot jarosza. Jako anegdotę opowiada się w środowisku przewodników psów milicyjnych fakt zakupienia przez Milicyjną Szkołę Psów w Suwałkach rocznego owczarka, który oprócz jajek, mleka i herbatników niczego innego nie brał do pyska. Tak nauczyli go od szczeniaka właściciele. Jest jeszcze cała czereda psów posia-

dająca właścicieli, ale żerujących na śmietnikach. Ich udział w objadaniu ludzi z mięsa równa się zeru.

Jednak, jak by nie kalkulować, rocznie ginie w psich żołądkach dwadzieścia kilogramów mięsa i jego przetworów; w przeliczeniu na wszystkie polskie psy, daje to około sto tysięcy ton. Liczbę tę można zanotować, a potem od razu wyrzucić ją z pamięci, jeśli ma służyć udowodnieniu – jak to czynią niektórzy propagandyści od dawna (bo w epoce bezkartkowego bezmięsa już to się zaczęło) – że jeśli w Polsce trudno dostać mięso, dzieje się to dlatego, że nam to mięso psy zjadają i emeryci wykupują. Mięsa jest brak nie dlatego, że psy i nie dlatego, że emeryci. Ale psy mają wśród ludzi grupę zatwardziałych wrogów i nie ma na to rady. Zatwardziali wrogowie psów boczą się nawet na nieśmiałe próby uruchomienia w Polsce biznesu „psich akcesoriów".

Kilka lat temu byłam w NRD. Oczy wychodzą na wierzch, kiedy ogląda się tamtejsze butiki dla psów. Największą zazdrość budzi jednak urozmaicona karma. Puszki z mielonym mięsem, „wędliny", suchary. Moja suka przez wiele miesięcy korzystała z tych łakoci. Pod kocyk na posłaniu zawsze zakopywała sobie dla zapachu chociaż kawałek psiego „herbatnika". W Czechosłowacji i na Węgrzech – jest podobnie.

A o tym, co jest pod tym względem na Zachodzie, nie ma co mówić. Rozmaitość i jakość konserw z żywnością specjalnie dla psów mogli sprawdzić na swoich pupilach członkowie Związku Kynologicznego, którzy otrzymali w 1981 roku, czyli podczas największego nasilenia kryzysu, trzydziestotonową przesyłkę z Holandii.

Wszystkim z tym psim biznesem wychodzi, tylko nie nam. W 1971 roku były próby uruchomienia produkcji kurzych łebków w rosołowej zalewie. Skończyło się na próbnej partii. Trzy lata temu spółdzielnia rolnicza „Przełom" z Bujakowa koło Mikołowa wypuściła na rynek konserwę z odpadków

koniny w trzykilogramowych puszkach. Towar znikł błyskawicznie z półek sklepowych. Radość psiarzy trwała jednak krótko. Podobno san.-epid. zakazał „Przełomowi" kontynuowania tej działalności.

Pewną nadzieję stworzyło przyjęcie przez żerańską rzeźnię receptury na „kaszankę", którą opracował docent Stanisław Wasilewski z SGGW. Produkt został sprawdzony na psach milicyjnych. Chociaż mięso stanowiło w tym wyrobie tylko dwadzieścia procent masy, „konsumenci" mieli świetną kondycję. Produkcją zainteresowała się następnie olsztyńska spółdzielnia pracy „Mewa". Dostarczyła handlowi zaledwie dwa tysiące puszek, po czym stwierdziła, że blaszanych opakowań zabrakło. Zastosowano osłonki z tworzyw sztucznych, lecz produkt stał się tak krótkotrwały, że produkcję na dobre przerwano.

Niedawno rozpoczął produkcję karmy suchej zakład doświadczalny „Bacutilu" w Motyczu, potem zakład doświadczalny AR w Lublinie. W jej skład wchodzą śruty, otręby zbożowe, mączki kostne, ryby, krew, drożdże i susz zielony. Podobno pięciodekagramowa porcja zastępuje aż ćwierć kilograma mięsa. Niestety, ilościowo produkcja jest tak mała, że nie zaspokaja potrzeb. I nic dziwnego. Skoro brak jest w Polsce paszy treściwej dla bydła i nierogacizny, to co dopiero mówić o...

– Karma bywa u mnie bardzo rzadko – mówi Ewa Uhma, prowadząca, jedyny chyba w Warszawie i kraju, sklep dla psiej klienteli. Dlatego na półkach sklepu widać głównie smycze i kagańce, grzebienie (specjalna psia kosmetyka), kosze, miski, maszynki do strzyżenia psów (zagraniczne), zabawki psie (plastykowe kości), a z tak zwanych używek wapno w proszku lub pastylkach. Przed butik przy ulicy Wiertniczej z rzadka podjeżdżają samochody. Właściciele czworonogów na początku byli zdziwieni specjalnym buti-

kiem à la Zachód, jednak szybko zorientowali się, że niewiele można w nim kupić.

Związek Kynologiczny rozumie troski hodowców, swoich członków. W Warszawie np. Związek ułatwił możliwość zakupienia odpadów rzeźnych w cenie pięćdziesiąt złotych za kilogram. Umowa przewidywała, że dla dużego psa, szczennej lub karmiącej suki – właściciel mógł kupić tygodniowo pięć kilogramów (właściciel małego psa mógł kupić jeden kilogram). W praktyce dostawy okazały się mniejsze niż w umowie, po prostu bardzo małe, a towar „spływał" nieregularnie. Miesięcznie było tego najwyżej dziewięćset kilogramów.

– Pani kochana, ta cała pomoc w zakupie mięsa to istna Bonanza – denerwuje się mój informator ze Związku Kynologicznego, pan Rogalski. – Zwożą towar na podwórze, gdzie mieszka jeden taki woźny z Zarządu Głównego Związku i rozdzielają po uważaniu. Chyba, że ktoś ma silne łokcie i na chama przepchnie się do przodu. Ostatnio straciłem wszystkie guziki i dostałem tylko pół kilograma. Ludziska tak wrzeszczeli, tak brali się za łby, że aż milicją trzeba było straszyć. Nie ma co, niezły cyrk mieli lokatorzy tej kamienicy, co obserwowali wszystko z okien.

A gdyby tak karmić psy koniną? Ludzie za tym mięsem nie przepadają, psy są wolne od podobnych animozji. W szkole psów milicyjnych w Sułkowicach, od czasu, kiedy z wołowiną zaczęły się kłopoty, jest to podstawowe w żywieniu mięso.

– Łatwo powiedzieć, trudniej zrealizować – odpowiada mi przewodnik psa milicyjnego, którego poznałam pod Warszawą z okazji dokumentowania tego reportażu. – Takie Sułkowice mogą kupić całego konia i sprawa załatwiona. Ale „rozproszony" w terenie funkcjonariusz, który potrzebuje dla swojego psa niewielkich porcji mięsa, może o tym

tylko marzyć. Końskie jatki są u nas rzadkością, zresztą ostatnio na koninę polują także ci, co pamiętając czasy okupacji oraz jakiś pobyt we Francji, starają się, aby konina stała się przysmakiem na ich stole (befsztyki z polędwicy końskiej uważane są we Francji za przysmak).

2

– Pani magister, niech pani tej osobie nie wydaje leków, bo to dla psa, nie dla człowieka! – awanturuje się w aptece jakaś zażywna jejmość. – Kto to widział, żeby w dzisiejszych czasach wyrzucać w błoto antybiotyki i witaminy, kiedy tyle dzieci choruje...

Rzeczywiście, weterynarze – nie bacząc na chroniczny brak leków – coraz częściej wystawiają recepty dla psich pacjentów, bo wzrasta wśród właścicieli psów świadomość, że jeśli się przyjmuje odpowiedzialność za psa, to trzeba go też leczyć.

Na psa, jak i na człowieka, fatalnie wpływa cywilizacja. Pies tak jak człowiek cierpi na gruźlicę, nowotwory, choroby serca i krążenia, przewodu pokarmowego, skórne, nerwowe. Tam, gdzie jest możliwość, najczęściej przy klinikach weterynaryjnych robi się poważne operacje chirurgiczne, skrobanki i cesarskie cięcia.

W przychodni dla zwierząt przeważnie tłok. Trzeba czekać nawet kilka godzin, żeby dostać się do gabinetu. Pacjenci zachowują się na ogół z godnością. Leżą cierpliwie u nóg swoich opiekunów, lekceważąc otoczenie. Bardziej tchórzliwi tulą się do kolan lub podstawiają łeb do pogłaskania dla dodania sobie otuchy. Szczególnie, gdy zza zamkniętych drzwi rozlegnie się rozpaczliwy skowyt przyjmowanego właśnie delikwenta.

Właściciele wykazują mniej opanowania. Jeśli nie przemawiają do swoich pupilów, prowadzą między sobą dysku-

się. Zwierzają się z psich dolegliwości i sposobów leczenia, polecają sobie wzajemnie niezawodne środki, dzięki którym ich psy wyszły bez szwanku z takiej właśnie choroby, na jaką teraz zapadł psi kolega.

– A co pani pies ma taką mokrą mordę? – zagaduje starsza kobieta, właścicielka żółtego mieszańca.

– No, bo płacze...

– Długo już tak?

– Trzeci dzień, od niedzieli rano. W sobotę zgubił się nam pod Warszawą. Nie było go całą noc. Raniutko mąż z synem, który był w rozpaczy, pojechali go szukać. Znaleźli wreszcie, jak błąkał się po torach. Na ich widok pies rozpłakał się i nie może przestać do tej pory. Leży na swoim kocyku i kapią mu łzy. Nie żre i nie pije...

– Patrz pani, jakie to ma czułe serce – dziwi się starsza pani. – Nerwy mu wysiadły, musi dostać coś na uspokojenie. Z psem zupełnie jak z małym dzieckiem.

Najwięcej jest przypadków uczuleń, które od lipca do pierwszych przymrozków zmieniają przychodnie dla zwierząt w poradnie dermatologiczne. Nieszczęsne stworzenia drapią się, wygryzają sobie sierść do krwi. Pewien czarny owczarek przypomina upiora: całe płaty gołej skóry pomalowano mu na fioletowo.

– I od czego mu to przyszło? – pyta mężczyzna trzymający na smyczy wychudłego foksteriera.

– Od wody w jeziorze. Wykąpał się i zaraz zaczęło go swędzić. Myśleliśmy, że pchły, więc mąż wsadził go do wanny. Ale potem zrobiło się jeszcze gorzej. Tak się czochrał, że powstały rany. Nie wie pan, czy da się to wyleczyć?

I wtedy zaczynają mówić wszyscy. Ich psy od lat chorują na uczulenie. Ze złego, miejskiego powietrza, karmienia kaszanką z przyprawami, mycia pachnącymi mydłami lub szamponami. Bywa, że przyczyną są pchły, robaki, tasiem-

czyca. A środków przeciw pasożytom akurat kompletny brak na rynku. Nie ma czym leczyć, choć z powodu pasożytów zewnętrznych i wewnętrznych cierpi osiemdziesiąt procent psów. Chyba że ktoś ma dewizy.

– A kto je ma, moja pani, kto? – użalają się ludzie wzajem i wytwarza się taka sytuacja, że choćby ktoś miał konto dewizowe, w tym momencie by się do tego nie przyznał.

Ogólne współczucie budzi sympatyczne małżeństwo, otulające pledem nie dającego prawie oznak życia szczeniaka. Tu sprawa jest wiadoma: psiak zostanie uśpiony. Zapadł na chorobę nieznaną u nas jeszcze kilka lat temu, parwowirozę.

– I nie ma na to żadnego ratunku?

– Jest. Francuska szczepionka, ale trzeba za nią zapłacić cztery dolary w żywej gotówce... Oczywiście, przed zachorowaniem psa. Teraz to musztarda po obiedzie...

Doktor Grzegorz Kosiński, kierownik stołecznej przychodni weterynaryjnej przy ulicy Krypskiej w Warszawie, ma dobrą opinię. Ludzie polecają go sobie wzajemnie mówiąc, że ma dobre do psów podejście. Co znaczy, że jak u ludzi tak i u psów (raczej ich właścicieli), liczy się nie tylko wiedza medyczna, ale również i stosunek do pacjenta.

– W przychodni naszej rzadko zdarzają się ciężkie przypadki chorobowe – mówi dr Kosiński. – Ale jeśli chce pani coś dramatycznego, proszę:

Raz przyszła do nas paniusia, żeby natychmiast uśpić zdrową, piękną jamniczkę. Bo popełniła mezalians i „popsuła sobie rasę”... Pani ta miała w oczach prawdziwe łzy, tyle przecież kosztował ją szczeniak, tyle poświęciła czasu na pielęgnację i tyle środków na smakołyki. A teraz pies stał się bezwartościowy. Kiedy wytłumaczyłem jej podstawy psiej fizjologii, ucieszyła się, że ma nadal rasowego psa, ale upierała się, by wykonać przerwanie ciąży...

Zdarza się także, że właściciel nieuleczalnie chorego psa za

nic nie pozwala go uśpić, chociaż pies jest stary – utrzymanie go przy życiu jest kosztowne i nie rokuje sukcesu. Pewien wytatuowany, ziejący alkoholem mężczyzna porwał ze stołu swojego cierpiącego na raka ulubieńca i krzyczał, że raczej da sobie rękę uciąć niż zgodzi się na wstrzyknięcie psu śmiertelnego środka.

– Tylko on trzyma mnie przy życiu, on jeden traktuje mnie jak człowieka – tłumaczył. – Mam go od wyjścia z więzienia, już szósty rok i przez ten czas nie popadłem w recydywę. I pan chce go ukatrupić?

Najgorsze są noce w pogotowiu weterynaryjnym przy ulicy Świerczewskiego. Trafiają tu przeważnie ofiary wypadków komunikacyjnych. Nie zawsze udaje się uratować im życie.

– Bywają jednak i chwile zabawne – wspomina doktor Kosiński. – Dzwoni kiedyś nad ranem kobieta, bardzo zdenerwowana i pyta, czy może się nareszcie położyć spać, bo pada już z nóg. Kolega, który odebrał telefon pyta zdziwiony, dlaczego ta pani dotąd czuwa, na co takiego cierpi jej pies. Okazuje się, że lekarz w przychodni stwierdził obecność robaków, przepisał odpowiednie środki, więc ta pani pilnuje, żeby te robaki nie rozeszły się po mieszkaniu...

Z lekami dla zwierząt nie jest najłatwiej, jednak twierdzenie, że leczenie weterynaryjne odbywa się kosztem ludzi jest nieprawdziwe. Zapewniają tak z całą odpowiedzialnością wszyscy lekarze czworonogich pacjentów. Do zabiegów jednorazowych lecznice używają własnych środków, w które zaopatruje je „Centrowo". Te na receptę (notabene bez żadnej zniżki), często produkowane są wyłącznie dla zwierząt lub z terapii człowieka zostały wycofane. Dotyczy to także leków, które utraciły termin ważności, a zakład weterynarii dopuścił je do użycia przez lecznice dla zwierząt.

– Psy podjadają nam co najwyżej trochę witamin i anty-

biotyków, ale w sumie to detal... – argumentuje doktor Kosiński.

Jedynie co do obowiązkowych szczepień ochronnych przeciw wściekliźnie nie podnoszą się głosy protestu. Dzięki szczepieniom zdołano opanować tę groźną chorobę, która jeszcze w pierwszych latach powojennych pochłonęła kilkadziesiąt ofiar ludzkich. W ostatnich dwóch latach zapadło na nią siedemdziesiąt psów, czy raczej, ściślej mówiąc, tyle wypadków zarejestrowała służba weterynaryjna. W ostatnich latach tylko sześć osób zachorowało na wściekliznę. Z czego tylko jedna umarła. Był to felczer weterynarii, mający „służbowo" do czynienia z chorymi zwierzętami.

– Ja najbardziej się boję, żeby mojego wnuczka pies nie ugryzł – peroruje siwa kobieta, opiekująca się rozwrzeszczanym malcem. – Jak zobaczę, że jakiś kundel zbliża się, rzucam kamieniem, żeby go odgonić, a małemu zakazuję głaskać nawet najładniejszego psa. Niedawno znajomi mieli straszny kłopot, bo córkę pokąsał obcy pies. Przez radio nadawali ogłoszenia, żeby jego właściciel zgłosił się i okazał świadectwo szczepienia. Ale wiadomo, jacy są ludzie: nikt się nie odezwał. Dziecko przeszło całą mękę okropnych zastrzyków.

Rzeczywiście, pogryzienie przez psa jest zawsze niebezpieczne. Gwoli sprawiedliwości trzeba przyznać, że normalny, zdrowy pies do użycia zębów nie jest taki skory.

Trzeba go najpierw porządnie sprowokować, co dzieci, nierzadko podjudzane przez dorosłych, lubią niestety robić. Niezależnie od przyczyn zjawisko może budzić niepokój swymi rozmiarami. W Polsce odpowiednie statystyki notują ostatnio zwiększoną liczbę pogryzień.

Podatek od psa (pobierany corocznie) wynosi, wraz z tzw. opłatą sanitarną – 360 zł. Właściciele psów po uiszczeniu podatku nie płacą już nic za coroczne (w maju) szczepienie przeciwko wściekliźnie. Usługi weterynaryjne też nie są spe-

cjalnie drogie. Wizyta w przychodni kosztuje (bez leków i zabiegów) ok. 200 zł.

Za miejsce, gdzie pracują sami najwięksi specjaliści uchodzi Instytut Weterynarii na ul. Grochowskiej w Warszawie. Rzeczywiście dokonuje się tam nieraz bardzo trudnych i skomplikowanych badań, zabiegów i operacji. Ale baza w Instytucie jest dość skąpa. Rentgen stary, zużyty, psuje się bardzo często. A jest on jedynym „zwierzęcym" rentgenem w stolicy.

Członkowie Związku Kynologicznego korzystają często z usług prywatnych weterynarzy.

– Jestem hodowcą cennych, bo rzadkich, chartów polskich – mówi mi jeden z członków Związku Kynologicznego. – Zawsze wolę drożej zapłacić poleconemu, sprawdzonemu lekarzowi, którego mogę wezwać telefonicznie, niż narażać psy na przypadkową diagnozę w przychodni, w której mogą złapać one ponadto rozmaite infekcje... Kiedy suka rodzi w nocy, nie będę jej przecież woził do pogotowia.

Ambitni hodowcy nie liczą się z kosztami, jeśli szczeniakom trzeba obcinać ogony lub uszy, usuwać zbędny na tylnych nogach pazur itp. Psy rasowe mają specjalne książeczki zdrowia, w których zapisywane są skrupulatnie wszystkie ich dolegliwości i kuracje.

Ostatnio zaczęły powstawać weterynaryjne przychodnie spółdzielcze. „Przyjęły się", mają dobrą opinię. I trudno je krytykować, już chociażby dlatego, że rozgęściły przecież duży – zbyt duży! – tłok, jaki stale panuje w „normalnych" przychodniach.

3

– Nie mamy szczegółowych spisów, ile psów żyje w Polsce – mówi generał Edwin Rozłubirski, prezes Zarządu Główne-

go Związku Kynologicznego. – Z ostatnich danych statystycznych, rejestracji szczepień przeciw wściekliźnie i liczby podatników można wysnuć jedynie wniosek, że jest ich ponad trzy i pół miliona. Tę armię czworonogów trzeba powiększyć jeszcze o co najmniej jeden milion psów bezpańskich. Najbardziej „zapsione" miasta to Warszawa, Kraków, Katowice, Poznań. Najmniej psów jest w Białymstoku. Większość stanowią mieszańce lub psy bez rodowodów. W Związku Kynologicznym zarejestrowanych jest jedynie trzydzieści cztery tysiące „arystokratów".

Gen. Rozłubirski niby to złego słowa o kundlactwie nie da powiedzieć, ale uważa, że prawdziwą rację bytu ma pies rasowy.

– Niesłusznie jednak mówi się o nim „arystokrata" – polemizuje ze mną gen. Rozłubirski. – Określenie to nasuwa skojarzenia z życiem próżniaczym i pasożytniczym. Tymczasem pies rasowy, chociaż faktycznie pochodzi z „dobrego domu", a jego przodkowie znani są niekiedy od kilkudziesięciu pokoleń, jest jak najbardziej użyteczny. Służy podczas polowań, jest obrońcą lub strażnikiem domu. Zawsze wiadomo, czego się można po nim spodziewać, bo w rasie zostały zakodowane określone cechy.

I tu wychodzi szydło z worka. Generał nie da złego słowa powiedzieć o kundlu czyli mieszańcu – wyrażając się elegancko – ale tak naprawdę uważa, że z mieszańca może wyrosnąć nie wiadomo co. Miał być mały piesek-maskotka, a okazał się po paru miesiącach pokracznym olbrzymem, miał bronić – okazał się tchórzem.

Na nic zdaje się mój argument, że poczciwego mieszańca można kochać równie czule, co czworonoga dobrze urodzonego. Jest on także dla wielu osób bardziej dostępny, bo rasowy szczeniak kosztuje dzisiaj majątek.

– Najgorsze jest darmowe rozdawnictwo – upiera się

przeciw kundlom generał. – O takie stworzenie właściciel nie dba. Uzyskał je bez żadnych nakładów finansowych, więc traktuje byle jak, bez sentymentu, porzuca lub maltretuje... Co innego, jeśli ma w domu zwierzę cenne... Na pewno będzie się o nie troszczył...

– Ostatecznie wszystko zależy od osobowości właściciela psa. Gdy człowiek o skłonnościach sadystycznych zafunduje sobie psa nawet za milion to, nie zważając na nic, będzie swego rasowca maltretował.

Faktem jest jednak, że przyjęło się, iż pies rasowy, drogi, świadczy o stopniu społecznej i finansowej kariery właściciela. Jest wizytówką możliwości finansowych. Jednak pogoń wielu ludzi za psem „wartościowym", za „rasowcem" wykorzystują handlarze-cwaniacy.

– Wpada kiedyś do Związku mężczyzna z trzęsącym się z zimna szczeniakiem i mówi, że przyszedł po metrykę. Ile ma zapłacić, byle szybko, bo spieszy się na pociąg. Tłumaczymy mu, że to pomyłka. Mówię, że nie można u nas uzyskać takiego dokumentu i pytam kto go tu przysłał? – opowiada pracownica Związku Kynologicznego. – Ano wasz hodowca, który stoi na rogu Nowego Światu. Sprzedał mi tego pinczerka za osiem tysięcy i skierował tu po papiery...

– Dał się pan nabrać, podwójnie. Niech pan zobaczy, jak wygląda pinczer. Czy ten piesek go przynajmniej przypomina?

– To złodziejstwo, rozbój, taki wstyd! Co ja teraz zrobię z kundlem? Chyba utopię go w Wiśle...

Dzwonię pod numer ogłoszenia o sprzedaży bokserów. Cena szczeniaka trzydzieści tysięcy. Miot liczy siedem sztuk.

– Czy mają rodowód? – pytam, pouczona w Związku.

– Po co to pani? – pada w słuchawkę. – Szuka pani przyjaciela czy lokaty kapitału?

– No... jednego i drugiego... Chcę mieć naprawdę boksera... Ale myślę, że cena jest trochę za wysoka...

Rzucona z tamtej strony na widełki słuchawka kończy dyskusję.

– Ceny na rasowe szczenięta ustala właściciel – hodowca. Najdroższe jest potomstwo rodziców nienagannie skoligaconych i utytułowanych, z krewnymi za granicą. Za bulteriera trzeba płacić sto dwadzieścia tysięcy, za mopsa osiemdziesiąt, afgana czy spaniela pięćdziesiąt. Dobry szczeniak ras popularniejszych kosztuje najmarniej trzydzieści tysięcy złotych.

– Paniusiu kochana – mówi mi „dobrze poinformowany" dozorca z Grochowa. – Takie psy, to złota żyła. Wystarczy handlować szczeniakami, żeby leżąc do góry brzuchem zbierać miliony!

A potem opowiada o jednym inżynierze z sąsiedniej posesji, który ma dwie bokserki, na okrągło eksploatowane. Trzyma je w ciasnocie i traktuje wyłącznie użytkowo. Któregoś dnia kopnął ze złości jedną sukę podczas spaceru, aż zwierzę przekoziołkowało ze skowytem, bo podobno poroniła idiotka szczeniaki!

W Związku Kynologicznym słyszę, że takie przypadki są raczej wyjątkiem. Jeżeli przyłapie się hodowcę na złym traktowaniu suki jako „jedynego żywiciela rodziny", reakcja jest krótka i ostra. Osoby, postępujące niezgodnie z regulaminem hodowlanym, zostają bez sentymentów wykreślone z szeregów kynologicznej braci. Ich psy usuwa się jednocześnie z rejestrów po wsze czasy, więc spadają do roli kundli. Nie może być inaczej, bo karanie właściciela tylko zabraniem legitymacji związkowej nie przeszkodziłoby w stosowaniu różnych chytrych wybiegów. Niby sprzedałby komuś zwierzęta, a faktycznie nadal uprawiał naganny proceder.

– Był na przykład taki hodowca, który sprowadził do Polski pierwszą i jedyną wówczas parę mopsów. W kraju sprzedawał tylko samce, po dwadzieścia tysięcy za szczeniaka, a suki spieniężał za grube dewizy za granicą. Tym sposo-

bem miał monopol i dorobił się fortuny. Zastosowaliśmy sankcje. Nie pomogły skargi ani odwołania, nawet pogróżki, że niszczymy cenną hodowlę. No i jakoś mopsy w Polsce nie wyginęły, a my pozbyliśmy się kombinatora – opowiadał generał Rozłubirski.

Z drugiej strony wiadomo, że pracownicy Związku, mając zarejestrowanych w kraju, w trzydziestu jeden oddziałach, dwadzieścia tysięcy członków, nie są w stanie sprawdzić warunków bytowania wszystkich czworonogów. Nawet kontrole miotów przeprowadza się wyrywkowo. Co innego, jeśli do zarządu dotrze konkretny sygnał. Nad tymi sprawami czuwa również Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami.

Czy takie sygnały docierają często? No, zdarza się. Pewien pan magister założył np. w centrum stolicy prawdziwe psie getto na pięćdziesięciu metrach kwadratowych.

Kilka suk na okrągło produkowało towar. W innym punkcie miasta trzymane były w barakowym zamknięciu psy różnych ras. Właściciel odwiedzał je rzadko, karmił skąpo, jakimiś barowymi odpadami. W Łodzi amatorka łatwych zarobków tanim kosztem więziła na ciasnym, brudnym placyku, bez żadnego zadaszenia, rozpłodowe charty. Przeważnie jednak członkowie Związku – moi informatorzy – naprawdę lubią swoje psy i nic nie robią im złego.

– Nie ma dziś mowy o takich aferach, jaką była w latach pięćdziesiątych sprawa owczarka niemieckiego Billa von Kleinenwasser. Właściciel zmuszał go (całe szczęście, że to było na tzw. Zachodzie) do krycia suk pięćset razy rocznie. Zarabiał na tym pół miliona. Potomstwo zrodzone z takiego reproduktora było, oczywiście, jako materiał hodowlany, zupełnie bezwartościowe. Dziś każdy pies ma prawo, zgodnie z przepisami, wstępować w związki małżeńskie jedynie piętnaście razy w roku – wyjaśnia starszy pan, wieloletni członek Związku Kynologicznego.

Wciąż pozostaje jeszcze nie wyjaśniona sprawa opłacalności handlu szczeniętami. Powszechne odczucie jest takie, że to zajęcie wyjątkowo intratne, w Związku Kynologicznym słyszę, że wprawdzie ceny przekraczają faktyczne koszty hodowlane, ale nie robi się na tym kokosów, zaś sprzedawcy uważają, że tylko tracą na psim interesie...

– A już najgorsza złość bierze – irytuje się pan Rysio, znajomy mi dozorca – że takie psy, jak jakieś lordy, latają samolotem na Zachód, żeby suka miała zagraniczne szczeniaki! To w głowie się nie mieści! Dlaczego nie zainteresują się tym władze! Skąd ludzie mają pieniądze na takie fanaberie!

Tymczasem w Związku Kynologicznym mają zmartwienie z powodów właśnie odwrotnych: w ostatnich latach prawie zupełnie ustały zagraniczne kontakty między hodowcami, wskutek czego został zahamowany dopływ do Polski „świeżej krwi" w psiej hodowli. Cztery lata temu, w jak najlepszych intencjach, z myślą o krajowych hodowcach, Związek Kynologiczny wpłynął na obostrzenie przepisów przy wywozie zwierząt za granicę. Chciał zapobiec masowemu „dzikiemu eksportowi", czemu sprzyjał brak opłat celnych. Obecnie trzeba wykupić za pięćset złotych metryczkę dla psa z godłem Międzynarodowej Federacji Kynologicznej (FCI), zaś cło wynosi dwieście procent wartości zwierzęcia.

Właściciele psów rasowych narzekają, że regulamin hodowlany nie jest jednakowy dla wszystkich ras. Jednym nakazuje zatrzymywanie z miotu jedynie sześciu szczeniąt, a usypianie dalszych, dla innych jest w tej dziedzinie tolerancyjny. W Milicyjnej Szkole Psów w Sułkowicach, należącej do Związku jako jedyny członek zbiorowy – wolno nawet kryć suki dwukrotnie w roku i utrzymywać przy życiu całe mioty. Jeśli suka ma trudności z karmieniem, podstawia się „mamki".

– Nie ma głupich – mówi znajomy hodowca. – Wszyscy,

których znam, ukrywają szczeniaki, zamiast je usypiać. Kto by uśmiercał takie ładne stworzenia! Łatwo je sprzedać, bo nie wszyscy uganiają się za psem z rodowodem. Wystarczy gwarancja, że jest po rasowych rodzicach.

Związek Kynologiczny dzięki temu, że patronuje amatorskiej hodowli psów ras ginących, albo ich odtwarzaniu, może poszczycić się tym, że w ciągu trzydziestu pięciu lat jego działalności na tym polu istnieją dziś takie rasy jak owczarek nizinny, podhalański, gończy polski, ogar polski i chart polski.

Przez kilka lat trwała prawdziwa wojna o charta polskiego, znanego dotąd jedynie z obrazów Kossaka czy Wierusz-Kowalskiego.

– W latach siedemdziesiątych kilku sprytnych „psiarzy" sprowadziło z ZSRR psy rasy chartaja borzaja z radzieckimi rodowodami i chciało je zarejestrować jako charty polskie – opowiada gen. Rozłubirski. – Na takie praktyki nie mogła się zgodzić ani rada naukowa, działająca przy Związku, ani też rada naukowa działająca w ZSRR przy związku będącym odpowiednikiem naszego Związku Kynologicznego. W międzyczasie zwrócono uwagę na to, że na Kielecczyźnie spotyka się u chłopów-kłusowników charty czystej rasy. Skąd? Prawdopodobnie ich przodkowie pochodzili z psiarni Konrada Niemojewskiego. Zaczęto wykupywać szczenięta, odpowiadające wzorcowi rasy. Chociaż pochodzenie ich uznano ostatecznie za niewiadome, niemniej została założona księga wstępna, kwalifikująca zwierzęta do hodowli. I już czwarte pokolenie otrzymało rodowody. W ten sposób chart polski został wskrzeszony – kończy generał-prezes.

Moda na rasy psie jest zmienna. Przed mniej więcej trzydziestu laty najmodniejszy był w „eleganckiej" Polsce, prawie nieznany w niej dotąd, bedlington, przypominający błękitną owieczkę. Potem wielce poszukiwane były bassety,

sprowadzone z Anglii. Moda na nie trwała tak długo, jak długo były rzadkie i cenne. Potem kolejno przypadła moda na spaniele, charty, dogi, bulteriery... Moda przychodziła i odchodziła, kształtując ceny i ilość populacji danej rasy.

Najpopularniejsze są dziś owczarki niemieckie, zaś najegzotyczniejsze małe pieski tybetańskie lhasa apsho. Powodem prawdziwej dumy stały się nie grzeszące urodą, lecz nad wyraz sympatyczne welsh-corgie – ulubieńce królowej angielskiej. Zjawił się też, podobno, jeden przedstawiciel amerykańskich superminiaturek, mieszczący się w kieliszku.

– Wyspecjalizowałem się w hodowli dogów, więc w chwili powstania trudności żywnościowych zacząłem się obawiać spadku zainteresowania szczeniakami ras wielkich – zwierza się właściciel doga arlekina. – Już myślałem, żeby przerzucić się na jamniki. Okazało się jednak, że ludzie teraz bardziej boją się włamania i kradzieży, więc szukają psów budzących respekt swoimi rozmiarami.

W Związku Kynologicznym otrzymuję informację, że opierając się na statystykach związkowych, można wysunąć wniosek, że rasowe psy są dziś w posiadaniu przedstawicieli wszystkich klas i grup społecznych i zawodowych po równi. Co nie dziwi skoro wiadomo, że taksówkarz zarabia więcej niż profesor uniwersytetu, a murarz wielokrotnie więcej niż dziennikarz.

– Pies to tylko pies, nawet jeśli byłby najładniejszy – głosi życiową filozofię pan Rysio-dozorca. – Kiedy stoję z miotłą, widzę różne śmieszne rzeczy. Jest jedna taka w okolicy, co zwierzaka traktuje niby dziecko. Całuje, łapy wyciera chusteczką, stroi w cudaczne ubranka. Jak kogoś dorwie, gotowa zamęczyć opowiadaniem, jaki ten jej pudelek jest mądry. Kiedyś pozawieszała mu na szyi pełno medali, że aż biedne stworzonko ledwie łbem ruszało, nawet wysikać się porządnie nie mogło! Innym razem skoczyła do oczu innej paniusi z

pudlem, że niby tamta przekupiła na wystawie sędziów i tylko dlatego jej pies dostał pierwsze miejsce. Używała przy tym takich wyrazów, że pijus spod budki by się nie powstydził!

A już najbardziej dziwi pana Rysia, że każdy właściciel uważa swego psa za tak łagodnego, że do rany go przyłóż. Dlatego coraz rzadsze jest używanie kagańca. A i smycz służy raczej ku ozdobie.

4

Janiszewska, co od niedawna wynajmuje letnikom kwatery nad Liwcem, poprzysięgła sobie raz na zawsze, że za żadne pieniądze nie zgodzi się już nigdy na gości z psem. Spróbowała i wystarczy.

– Co ja się nadenerwowałam w zeszłym roku! Jedni państwo ze stolicy przyjechali z wilczurem. Już pierwszego dnia udusił trzy kury. Przeskoczyć przez siatkę było dla niego fraszką, więc stratował mi wszystkie grządki kwiatowe. Kiedyś tak na oślep gonił kota, że podciął mi w biegu nogi. Upadłam i potłukłam sobie wszystkie kości. Nie słuchał nikogo, nawet właścicieli. Buszował samopas po okolicy, wracał nocą i wył pod drzwiami. Kiedy zostawiali go w domu, drapał i gryzł, co popadło. Pozwalali mu wylegiwać się w pościeli i na meblach. Nie zakładali mu kagańca ani obroży, bo pies musi mieć na wakacjach trochę swobody! Bałam się poruszać po własnym obejściu. Miarę przepełniło rzucenie się psa z obłędnym szczekaniem za rowerkiem wnuczka sąsiadki. Dzieciak dostał histerii. Wtedy wypowiedziałam letnikom kwaterę.

Każdy, kto naprawdę lubi i zna psy, złapie się pewnie w tej chwili za głowę. Z oburzenia. Nie na psa, lecz na ludzi. Właśnie tacy, jak owi „państwo ze stolicy", są często powo-

dem, że właściciele psów są w ośrodkach wakacyjnych niemiłymi gośćmi. Że nierzadko taksówkarz odmawia przewozu, że zaprotestują współpasażerowie w przedziale kolejowym, nawet jeśli mamy opłacony bilet, a stworzenie prowadzimy w kagańcu i na smyczy.

– Smycz i kaganiec, to zresztą półśrodki – twierdzi stanowczo właściciel dobermana, który budzi powszechny podziw karnością i dobrym ułożeniem. – Pies powinien chodzić na uwięzi niewidzialnej, którą jest głos pana. Każdy, jeśli chce, może swego czworonoga nauczyć podstawowych zasad zachowania wymaganych od niego od chwili przypisania psa – zwierzęcia stadnego – do życia w ludzkim stadzie.

Dla tych, którzy nie mają zdolności pedagogicznych, dużą pomocą są kursy psiej „kindersztuby", organizowane przez Główną Komisję Szkolenia Psów przy Zarządzie Głównym Związku Kynologicznego. Do szkółki dobrych manier mogą uczęszczać nie tylko psy rasowe, chociaż edukacja „plebsu" jest o trzysta złotych droższa, co dziwi, jako że powszechne jest mniemanie, poparte doświadczeniem, że kundle są mądrzejsze niż psy rasowe.

– Za trzy miesiące psiej nauki zapłaciłem ponad dwa tysiące złotych, ale teraz skończyły się męki z rozhukanym stworzeniem – cieszy się spotkany na korytarzu Związku Kynologicznego młody człowiek. – Polecenia: „siad", „do nogi", „stój", przestały być dla mojego psa pustymi dźwiękami. Mogę teraz swobodnie poruszać się z nim po ulicy i korzystać z publicznych środków komunikacji.

Podstawowy stopień szkolenia – to szkolenie psa jako „psa towarzyszącego". Umiejętności obronne, to już wyższy stopień wtajemniczenia. Do tego – przynajmniej wg opinii fachowców od szkolenia ze Zw. Kynologicznego – nadają się tylko psy niektórych ras, odpowiednio silne, postawne, odważne (np. boksery, duże sznaucery, owczarki alzackie). Jeszcze inne

szkolenie prowadzi Polski Związek Łowiecki. Ten wziął na siebie zadanie kształtowania właściwych cech użytkowych psów myśliwskich. Bo to nie jest tak, że przynależność do odpowiedniej rasy załatwia wszystko. Ważne są cechy osobnicze. Pies nawet rasy myśliwskiej, może bać się huku wystrzału. Gnuśny, strachliwy piecuch albo taki co boi się wody – praktycznie na psa myśliwskiego się nie nadaje nawet wtedy, jeśli ma nienaganną budowę i rodziców bez zarzutu.

Inny rodzaj „wykształcenia" ma pies cyrkowy. Są to przeważnie małe pieski. Liczą lepiej niż niejeden pierwszoklasista, skaczą przez obręcze, tańczą w rytm muzyki.

– A mnie tam szkoda stworzeń – zamyśla się babcia, prowadząca z cyrku kilkuletniego brzdąca. – Postroją biedactwa w kolorowe szmatki, poprzywiązują im kokardki i każą się wygłupiać. Toż to musi być dla psa męczarnia...

– A przecież nasz Alik bardzo lubi podskakiwać na tylnych łapkach i kręcić się w kółko! On na pewno też chciałby występować w cyrku – nie zgadza się wnuczek.

Emeryt Jasiński ma o psach wyrobione zdanie. Nie ma na świecie mądrzejszych stworzeń. Dzięki psom Jasiński, człowiek samotny i niewidomy, jakoś daje sobie radę w życiu. Wzrok stracił podczas wojny, rodziny nie założył nigdy. Pierwszy jego pies-towarzysz był taki inteligentny, że zmienił Jasińskiemu cały światopogląd.

– Owczarka wytresował specjalnie dla mnie przedwojenny pracownik cyrku, jakiś dalszy krewny z rodziny ojca. Nie wierzyłem, że pies może coś pomóc na moje kalectwo, myślałem, że co najwyżej będę miał towarzysza. Tymczasem przydawał się wszędzie. Na ulicy trącał mnie nosem, żeby przestrzec przed przeszkodą. Przytrzymywał zębami, kiedy pchałem się na jezdnię pod samochód. Został nauczony robienia zakupów. Wieszało mu się na szyi takie specjalnie uszyte worki, wkładało pieniądze i karteczkę, co ma przynieść i sam

chodził do sklepu. Nikt mnie nigdy nie oszukał, ani na pieniądzach, ani na towarze i nie wybrzydzał na psa. Może dlatego, że wszyscy mnie tam znali? A może ludzie byli wtedy inni? W mieszkaniu sam otwierał z klamki drzwi, przynosił mi kapcie, nawet z kubełkiem w zębach biegał do śmietnika. W ogóle zachowywał się lepiej i mądrzej niż niejeden człowiek...

Kiedy pies zdechł ze starości, Jasiński bardzo to przeżył. W tym czasie przeniósł się akurat do Warszawy. Ze Związku Niewidomych dostał innego psa, wyszkolonego w sułkowickiej Szkole Psów Milicyjnych. Ten był także specjalistą w swoim „fachu", chociaż musiał poruszać się z niewidomym w trudniejszych warunkach. W stolicy, wiadomo: duży ruch, tramwaje, autobusy, windy.

– Tylko zupełnie nie wyszło tutaj z wysyłaniem psa do sklepu. Najpierw ktoś nieuczciwy ukradł mu pieniądze, potem wręcz przegnano go kijem. Ludzie krzyczeli, że to wbrew przepisom, żeby zwierzę wchodziło do pomieszczenia, gdzie handluje się jedzeniem. Zresztą to straszny dyshonor i hańba obsługiwać czworonoga. Trudno, chociaż z latami coraz ciężej mi się poruszać, muszę sam dreptać po zakupy...

W Związku Niewidomych dowiaduję się, że współpraca Związku z Sułkowicami układa się bardzo harmonijnie. Dzięki temu ludzie dotknięci kalectwem wzroku mają karnych, wiernych i mądrych psich opiekunów. Zwierzęta prowadzone są najpierw przez przewodników widzących, jednak stwarza się im w terenie sytuacje, jakby opiekowały się kimś bezradnym. Są przyzwyczajane do widoku białej laski. Przed zabraniem ich do siebie, niewidomi często przychodzą przez kilka tygodni do psiej szkoły. Wtedy psy poznają swych przyszłych panów. Szkoda tylko, że rocznie udaje się wyszkolić zaledwie trzydzieści psów... Zapotrzebowanie jest wielokrotnie wyższe...

5

Oczywiście w Sułkowicach przygotowuje się – poza tymi trzydziestoma psami dla niewidomych – wyłącznie psy dla milicji. Jeszcze przed wyjazdem do Sułkowic dowiaduję się, że są kraje, które rozwinęły „kynologię służbową", to znaczy prowadzą państwowe hodowle psów dla wszystkich rodzajów służb, a także posiadają jeden scentralizowany system szkolenia. Ale w Polsce zajmuje się skupywaniem, potem szkoleniem zwierząt kilka ośrodków resortowych. Mają swoje szkolne placówki Służby Ochrony Kolei, WOP, straż więzienna. Hodowlę psów podjęły na razie tylko Sułkowice w nadziei rozwiązania w przyszłości kłopotów z zaspokajaniem zapotrzebowania na zdatne do służby młode zwierzęta.

Gdzie mieści się ta jedyna w Polsce szkoła psów milicyjnych, potrafi wskazać każdy mieszkaniec Sułkowic i okolicy. Zresztą szczekanie stu kilkudziesięciu psów słychać z daleka. Już przed ogrodzeniem spacerują z psami w kagańcach i na smyczy młodzi mężczyźni. Niektórzy trzymają w rękach białe laski – atrybut ociemniałych.

Owczarki są młode i doskonale utrzymane. Pod lśniącą sierścią drgają im świetnie rozwinięte mięśnie. Rozsadza je energia, lecz przyuczone do posłuszeństwa poskramiają odruch rzucenia się na nieznajomych.

– Mamy dużą przestrzeń, prawie sto hektarów, więc zarówno ludzie jak i psy mają bardzo dobre warunki pracy i bytowania. Sułkowice, to dawny majątek obszarniczy, w 1956 roku przejęty od KBW. Projektantem i organizatorem szkoły był pułkownik Józef Pawłusiewicz – informuje dzisiejszy szef szkoły pułkownik Aleksander Józefowicz, prowadząc do gabloty pamięci, bo i tu jest taka w zastępstwie „izby". Nie ma w niej portretów pierwszych uczniów-prymusów i wyliczenia ich zasług. Są natomiast dokumenty, ukazu-

jące zasługi wojenne założyciela szkoły oraz zdjęcia obrazujące trudne początki psiej „uczelni". Kiedy patrzy się dzisiaj na dokumentację z lat dawnych i porównuje z tym, co się widzi wokół: przestronne boksy dla zwierząt i starannie zagospodarowany plac ćwiczeń, od razu widać ile pracy zostało tu włożone, jakie zmiany na lepsze tu zaszły.

– Dlaczego szkoli się wyłącznie owczarki niemieckie? – pytam w trakcie spaceru po terenie szkoły.

– Ta rasa sprawdziła się najlepiej w naszych warunkach klimatycznych. Jest wystarczająco wytrzymała na zmiany temperatury i ponoszone trudy. Na przykład dobermany, chociaż inteligentne i ostre, okazały się słabe fizycznie. Z kolei dogów nie byłoby czym wyżywić...

– Czy każdy pies jest czystej rasy, z rodowodem?

– Tak byłoby najlepiej, lecz niestety musimy się na razie zadowalać takimi psami, jakie uda się zakupić od prywatnych hodowców.

– Jakie wymogi stawiane są psu służbowemu?

– Wysokie. Z grubsza biorąc musi mieć szeroką klatkę piersiową, stojące uszy i wiszący ogon. W zasadzie powinien przypominać prostokąt o dłuższym boku ustawionym równolegle do ziemi. Samiec musi mierzyć w kłębie sześćdziesiąt pięć, a suka pięćdziesiąt pięć centymetrów.

– Czy psie „panie" mogą także służyć w milicji?

– Kwalifikujemy je zdecydowanie rzadziej, chyba że są ogólne braki zwierząt lub okaz wydaje się nam wyjątkowo cenny. Suki są łagodniejsze i delikatniejsze, a na okres rui muszą być wykluczane z pracy.

Wygląd zewnętrzny i budowa psa, to jeszcze mało. Musi mieć świetny słuch i węch, a także określone predyspozycje psychiczne. Sprawdza się również jego podstawowe umiejętności, jak branie do pyska jakiegoś przedmiotu i aportowanie, odpieranie ataku obcego człowieka, nawet wówczas gdy nie

ma w pobliżu właściciela, wreszcie niereagowanie strachem na odgłos wystrzału. Strachliwych psów się nie przyjmuje.

Szef szkolenia przewodników, major Tadeusz Kotrys, pracuje w Sułkowicach trzydzieści lat. Chociaż psy i ich przewodnicy zmieniają się jak w kalejdoskopie, bo najdłuższy kurs trwa pół roku, pamięta dobrze niektórych uczniów – głównie indywidualistów, zna cechy charakterystyczne każdego zwierzęcia. A i ludzi przebywających ze zwierzętami też zna dobrze.

– Przychodzą tu surowy pies i surowy człowiek. Problem w tym, żeby dobrać ich ze sobą pod względem typów psychicznych. Flegmatyk nie „dogada się" ze zwierzęciem żywym, energicznym, samodzielnym. I odwrotnie: nerwus, raptus może zahukać potulnego, zrównoważonego czworonoga. Czasem musimy „brakować" także ludzi. Nie nadaje się do pracy z psami ktoś, kto się ich boi lub brzydzi widoku odchodów i dotyku sierści. Codziennym obowiązkiem przewodnika jest utrzymanie czystości w klatce podopiecznego, czesanie i szczotkowanie jego sierści, dostarczanie mu wody i pokarmu oraz mycie naczyń.

Każdy pies ma własnego przewodnika, lecz kilka zwierząt zostaje zawsze w rezerwie na wypadek, gdyby jakiś „uczeń" odpadł w trakcie edukacji. Zdarza się też, że zawiedzie przewodnik. Musi wtedy nastąpić „zmiana ręki", co znaczy, że psu przydziela się nowego opiekuna. Oczywiście takie korekty dopuszcza się jedynie w przypadku szkolenia psów obronnych, i to nie później niż w okresie do połowy kursu.

– Dzień zaczyna się dla mnie o szóstej rano – opowiada jeden z przewodników. – Podaję psu kaszę z psiej kuchni, nalewam wodę, robię porządek przy zwierzęciu, czyszczę i zmywam kojec. Muszę się uwijać, bo tylko do ósmej mam czas na kosmetykę własną i śniadanie. Potem następuje wymarsz na poligon, z którego wracamy o trzynastej czter-

dzieści pięć. Sprawdzam jeszcze, czy pies ma wodę i daję mu spokój aż do osiemnastej, kiedy dostaje drugi posiłek. Moje spacery po kojcu i „towarzyskie" odwiedziny są zabronione. Ponieważ pies przy tresurze wydatkuje wiele fizycznej i psychicznej energii – musi mieć dużo czasu, aby swe siły regenerować. Ale to nie dzieje się w budzie. Ani pomieszczeniu. Odpoczywając przez cały czas pies pozostaje w pozycji wyczekiwania. Do budy wchodzi dopiero nocą.

W trakcie mojej rozmowy z przewodnikiem zbliża się do nas major Kotrys. I z miejsca chwali młodego człowieka za to, że szybko zrozumiał podstawowe zasady postępowania z psem. Że jest cierpliwy w egzekwowaniu poleceń, nigdy nie przełamuje zwierzęcia siłą. Siły nigdy nie wolno stosować, raczej już jakiś chytry wybieg, ale na taką „chytrość" może sobie pozwolić tylko ten człowiek, który poznał psią psychikę.

Tu następuje skrócony wykład zasad tresury. Jeśli pies nie chce, powiedzmy, spełnić polecenia: „daj głos", nie puszcza się go na przerwę, którą bardzo lubi (jaki uczeń nie lubi przerwy). Następuje więc w psim umyśle skojarzenie: wydanie szczeknięcia równe jest zwolnieniu na przerwę. Ten odruch warunkowy sprawia, że pies „naśladując" inne psy sam staje się posłuszny. Dowiaduję się też, że nie wolno zmuszać psa do warowania, kiedy jest bardzo zimno lub deszczowo. Nie wolno rozkazywać mu, aby „dał głos" po dużym wysiłku. Psy najłatwiej uczą się podczas dobrych warunków atmosferycznych i wtedy, kiedy nauka przedstawiona jest jak zabawa. Największą sztuką jest uzyskanie jak największych efektów jak najmniejszym kosztem.

Podstawą tresury jest wyrobienie posłuszeństwa. Wbrew pozorom, bardzo trudno nauczyć psa chodzenia przy nodze. Zwierzęciu zawsze się spieszy, ciągle chce za czymś gonić. To samo dotyczy pozostawania w określonym miejscu, siadu, oczekiwania, warowania.

Na placu ćwiczebnym psy tropiące uczą się właśnie czołgania pod przeszkodą. Jeden uparty spryciarz wciąż przeskakuje belkę górą.

– Po co psom taka umiejętność? – pytam.

– Na pewno przyda się w trakcie pościgu za podejrzanym, przy przeszukiwaniu pomieszczeń, zabudowań itp. Podczas gdy pies obronny musi umieć przede wszystkim atakować napastnika i zaprzestać agresji na rozkaz, pies tropiący powinien posiąść wiedzę o wiele większą. Będzie penetrował tereny zalesione, unieruchamiał przeciwnika, pomagał podczas konwoju i przy legitymowaniu zatrzymanego.

Najwyższą wartość użytkową mają psy tropiące i specjalne. Dlatego one są dla MO najcenniejsze. Chociaż tropienie jest niby cechą wrodzoną, jednak trzeba zwierzę nakłonić do wąchania „selektywnego". Musi trzymać się jakiegoś ludzkiego śladu, pomijając nakładające się tropy i nie reagując na otoczenie. Nawet jeśli kręci się akurat w pobliżu najbardziej pociągająca suka lub irytujący kot. Niektóre psy są szkolone dodatkowo specjalnie. Muszą zostać wytresowane do wykrywania łusek i broni, bimbru, zwłok, narkotyków. Notabene jest to najwyższym stopniem naukowym. Te umiejętności posiada nie psi magister, nie doktor, ale co najmniej docent.

W kojcach, wydzielonych na hodowlę, baraszkują kilkumiesięczne szczeniaki. Własny przychówek Sułkowic jest na razie niewielki: najwyżej czterdzieści psów rocznie, ale to dopiero początki. Sułkowice mają własną służbę weterynaryjną. Sami szczepią psy przeciw nosówce, parwowirozie, nie mówiąc już oczywiście o wściekliźnie. Psy są też regularnie odrobaczane, bo każdy pies, niezależnie od tego jak jest chowany, musi być odrobaczany przynajmniej raz na rok.

– Miewamy czasem kłopoty z nowo przyjętymi psami – mówi szef wet-ambulatorium pułkownik Wojciech Lenar-

towicz. – Oderwane od dotychczasowych właścicieli, początkowo nie chcą przyjmować pokarmu. Niekiedy wykazują wstręt do surowego mięsa lub nie jedzą w ogóle. Jeśli chcą od razu pić wodę to i tak dobrze. Czasem takie psy mają różne „kaprysy" kulinarne. Musimy im początkowo ulegać. Bywa tak, że dajemy nawet surowe jajka, herbatniki. Potem, stopniowo, przemycamy podstawową karmę, czyli zawiesisty krupnik mięsno-jarzynowy, przy którym nasi uczniowie i absolwenci pozostają już na zawsze.

– Czy podczas ćwiczeń nie zdarzają się wypadki?

– Owszem, zdarzają się rozmaite kontuzje. Ale nasze ambulatorium wyposażone jest dobrze. Mamy rentgen i salę operacyjną. Czasem wykonujemy poważne zabiegi, nawet takie jak operacja przetoki śliniankowej czy wycięcie kawałka jelita. Usypianie jest u nas bardzo rzadkie. Jeśli zwierzę po chorobie nie może wrócić do pełni sił, wtedy zostaje odsprzedane.

Właśnie w Sułkowicach kręcone były niektóre odcinki serialu „Przygody psa Cywila". W życiu praca psów nie jest tak barwna jak w filmie. Rozwój techniki, postępująca urbanizacja, coraz większa liczba pojazdów mechanicznych, chemizacja rolnictwa, to wrogowie węchu psa tropiącego. Owczarek, wyszkolony w cichym, nieskażonym terenie sułkowickim, ma „kłopoty zawodowe" w wielkim mieście. Stosuje się wprawdzie w trakcie nauki wycieczki do stolicy, ale okazują się one nie wystarczające.

W ostatnim pięcioleciu psy milicyjne przyczyniły się do ujęcia przeszło jedenastu tysięcy przestępców (w tym pięćdziesięciu zabójców). Mienie, odzyskane dzięki nim, sięgało osiemnastu milionów złotych. Największą sławę osiągnął owczarek Istar z Legnicy, podopieczny sierżanta Sowy. Nie miał on może tak efektownych przygód, jak „Cywil" filmowy, ale za to był pierwszy w statystyce. Miał tak niezawodny węch, że

przyczynił się do ujęcia największej liczby przestępców.

– Być może, w niedalekiej przyszłości będziemy uczyć psy jak mają, według śladów pozostawionych na miejscu przestępstwa, identyfikować osoby o to przestępstwo podejrzane. Na razie ograniczamy się do nauki tropienia w czystej formie, chociaż obiektywne warunki coraz bardziej zmniejszają zakres takiego działania. Wprowadzenie nauki identyfikacji przestępcy wymaga jednak dużych i kosztownych inwestycji. Na przykład wprowadzenia do nauki specjalnej aparatury elektronicznej, służącej do konserwowania zapachów. Taką aparaturę mają już podobno niektórzy nasi sąsiedzi – informuje pułkownik Jan Głogowski z Biura Kryminalnego MO.

Oglądamy razem z płk. Głogowskim grube albumy, zawierające publikacje o psach. Pułkownik Głogowski, psi hobbysta, uzupełnia ich zbiór. I nic w tym dziwnego, skoro w swojej zawodowej karierze siedem lat spędził w Sułkowicach. Od płk. Głogowskiego otrzymuję też informację, że w MO służy trzysta pięćdziesiąt psów tropiących i tysiąc czterysta pięćdziesiąt sześć obronnych. Dwadzieścia dziewięć wyspecjalizowanych jest na łuski i broń, tyle samo na samogon, trzydzieści trzy na zwłoki i trzy na narkotyki.

Moje pytanie, czy psy milicyjne często giną z rąk przestępców, spotyka się z przeczeniem. Częsta jest śmierć pod kołami pojazdów. Jednak w większości mrą zwyczajnie – ze starości. O nowe wyszkolone zwierzęta nie łatwo, nie łatwo też o przewodników, więc w służbie coraz więcej notuje się psich wakatów – kończy pułkownik Głogowski.

6

Na Paluchu w Warszawie, inaczej mówiąc – w schronisku dla bezdomnych zwierząt przy ulicy Na Skraju – zjawiam się

w któryś wtorek o dziesiątej rano. Brama szczelnie zamknięta. Przywołany długim kołataniem pracownik oświadcza, że punkt będzie czynny za trzy godziny. Wywołuje to natychmiastową reakcję małej dziewczynki, która stanęła właśnie obok mnie przy bramie, wraz z postawnym mężczyzną.

– Tatusiu – płacze – jechaliśmy taki kawał drogi i nie dostaniemy pieska! Nareszcie cię ubłagałam, a tu wszystko na nic...

Mężczyzna w milczeniu rozgląda się. Nie ma gdzie zaczekać, wokół wygwizdów i pustkowie. Postawa pracownika schroniska odebrała mu nadzieję na jakąkolwiek dyskusję. Odchodzi zrezygnowany, ciągnąc rozżalone dziecko.

Interesantów do kierownika także się nie wpuszcza. Dobijam się tak zaciekle, że wreszcie znowu ktoś się zjawia. A że ten ktoś akurat wychodzi, wdzieram się na teren siłą. Kierownik mówi, że nie ma czasu. Obecny przy rozmowie weterynarz ostrzega, że na wszelkie wywiady musi być zgoda samego prezesa Zarządu Warszawskiego lub Głównego Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. Dobrze. Zadzwonię i poproszę o zgodę.

Kierownik niechętnie udostępnia mi telefon. Niestety, w biurze Zarządu Głównego nie ma nikogo z władz. Sekretarka informuje mnie, że wszelkie funkcje w zarządzie pełni się „społecznie", więc nikt z władz nie ma obowiązku wysiadywania w biurze. Nie, nie można z nimi w żaden sposób się porozumieć. Pewnie są gdzieś na mieście. Sekretarka, może kierwoniczka biura, nie czuje się kompetentna, by zezwolić mi na zebranie „prasowego materiału" na terenie schroniska.

Tłumaczę, że z prezesem mam zamiar spotkać się na osobnej rozmowie, ale chciałabym przedtem zdobyć materiał z autopsji. Nic nie pomaga.

Wobec tego oświadczam, że jeśli nie mogę działać jako dziennikarz, mogę jako interesant. Ostatecznie wolno mi

wejść na chwilę do baraków i rzucić okiem na psy. Może chcę sobie któregoś wybrać?

W ślad za mną biegną niechętne spojrzenia personelu. Próbuję zadać kilka pytań towarzyszącemu mi w charakterze stróża młodemu pielęgniarzowi – tak szumnie nazywani są pracownicy fizyczni schroniska. Kierownik czuwa. Reaguje natychmiast: zabrania udzielania jakichkolwiek informacji. Inny pielęgniarz wykrzykuje pod moim adresem, żebym przestała „węszyć" po azylu. Oni znają dobrze takich, co to się za dziennikarzy podają. Atmosfera staje się nieprzyjemna. Po kwadransie opuszczam teren. Wyszczuta nie przez psy – lecz przez ludzi.

– Niech się pani nie dziwi, że oni boją się dziennikarzy, skoro co pewien czas wybucha w związku ze schroniskiem jakiś skandal – wyjaśni mi potem „całkiem prywatnie" pewna członkini Zarządu Głównego Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. A wkrótce potem sama – za pośrednictwem radia, prasy i TV – będę odbiorcą informacji o jednym takim skandalu – zamarznięcia piesków w czasie silnych mrozów. A że skandal ten ujawniły panie z Zarządu Warszawskiego, należące do tzw. sekcji schroniskowej, mającej za zadanie m.in. kontrolowanie schroniska – cała sekcja za spełnienie swoich obowiązków została „karnie" rozwiązana. „Sianie fermentu" i „podważanie dobrej opinii" było bowiem w Towarzystwie tak dalece niedopuszczalne, że dopuszczano łamanie statutu...

Kiedy opuszczam schronisko, jakaś kobieta dyskutuje przy bramie z pracownikiem w kombinezonie. Przywiozła taksówką, na swój koszt, z centrum miasta rannego psa. Leżał na ulicy potrącony przez samochód. Zwierzę, z którego pyska wydobywa się krwawa piana, wygina się w przedśmiertnych chyba już drgawkach. Kobieta wygląda na kompletnie wyczerpaną i stara się bezskutecznie, od dłuższe-

go czasu, przekonać pracownika schroniska o potrzebie zajęcia się stworzeniem. Ale ów piętrzy jakieś trudności. Wreszcie, być może na mój widok, otwiera bramę. Oczywiście nie ma zamiaru pomóc kobiecie. Każe jej samej nieść psa, choć widzi, jaka jest zmęczona. Wrażenia z wizyty w schronisku, po nawet pobieżnym jego oglądzie, są przerażające. Psy stoją stłoczone w cuchnących barakach, po kilka w boksie. Ze zlepioną, zmierzwioną sierścią, zaropiałymi oczami. Bezgranicznie smutne i przerażone. Poszarzałe z niedoli, jakby były bardzo stare albo ciężko chore. Na betonie leżą nieuprzątnięte odchody. W żadnej misce nie ma kropli wody. Silniejsze psy ujadają rozpaczliwie, rzucają się na siatkę. Większość kuli się z podwiniętymi ogonami, dając najwymowniejsze rzeczy świadectwo.

Kiedy stawiam się o umówionej godzinie w Zarządzie Warszawskiego Oddziału Towarzystwa, zaproszona przez prezeskę – Antoninę Chłapowską, trwa akurat zebranie.

– To pani z propagandy, która zbiera wywiady o psach – zostaję przedstawiona.

W efekcie słyszę, niemal wprost, że przeszkadzam w ważnych obradach. Omawia się tutaj sprawy wewnętrzne, nie przeznaczone dla cudzych uszu. Mimo takiej gościnności nie wychodzę. Pani prezes, usadziwszy mnie na boczku, pod obstrzałem spojrzeń pełnych dezaprobaty, udziela mi półgłosem informacji.

– Mamy kłopoty z obsługą schroniska. Trzeba by każdego zatrudnionego pilnować z osobna i patrzeć im na ręce. Trudno, żebyśmy sami rzucili wszystko i robili tam porządki. To niewykonalne, chociaż stosujemy kontrole. Wykazały one, że pracownicy piją na terenie i zaniedbują zwierzęta. W czasie świąt potrafili w ogóle nie stawić się na dyżur i psy głodowały. Jedna z byłych kierowniczek, bez porozumienia się z Zarządem, samowolnie uśpiła czterdzieści osiem stwo-

rzeń. Jednak wszystkich pracowników – choć do wszystkich mamy zastrzeżenia – zwolnić nie możemy. Kto chce pracować za siedem tysięcy w smrodzie, brudzie, bez wygód, daleko od centrum? Od psów można się nabawić niebezpiecznych chorób. Ostatecznie więc trzymamy takich ludzi, jacy się trafią. To miasto, które łoży na schronisko, powinno zadbać o odpowiedni personel. Podwyższyć pobory, poczynić niezbędne inwestycje.

Dopytuję się natrętnie o jakieś dane. Budzi to niezadowolenie i konsternację. Z niezupełnych danych mogę wywnioskować, że preliminarz na ostatni rok wynosił prawie sześć milionów złotych, lecz nie wiadomo, jak przebiega jego realizacja. Kończy się rok, a ze schroniska nie napłynęło jeszcze sprawozdanie, nawet za pierwsze półrocze. „Psiodniówka" wynosi około sześć i pół złotego latem, dziesięć złotych zimą. Wszystko jednak zależy od aktualnych cen i możliwości zdobycia karmy. Miasto łoży na utrzymanie psów przy życiu jedynie przez dwa tygodnie. Potem, zgodnie z przepisami, powinny one zostać uśpione. Towarzystwo wywalczyło sobie prawo przedłużania im pobytu z własnych środków.

– Przecież leży nam na sercu – tłumaczy jedna z działaczek – żeby młode i zdrowe zwierzęta trafiły w końcu nie do „Bacutilu" jako surowiec, lecz do dobrych ludzi. A na szukanie im opiekunów potrzeba trochę czasu. Gromadzimy fundusze z różnych źródeł, np. ze składek czy sprzedaży psów, przyjmujemy dary: spleśniałe kasze, zawilgocony ryż i makaron, zepsute mięso, co nie obciąża niczyjej kieszeni. Psy widzą nasze starania i okazują wdzięczność. Piszczą radośnie na nasz widok, merdają ogonkami, chcą się łasić... – zapala się, lecz zaraz milknie; sama chyba zawstydzona tym, co mówi.

Potem zebrani przerzucają się na narzekania na władze terenowe. Że choć dysponują dużymi sumami z opłat za psy – nie chcą dotować działalności Towarzystwa i jego agend.

A potem, choć nic tego nie zapowiadało u osób tak niechętnych dziennikarskiej krytyce, zebrani zaczynają krytykować schronisko „na Paluchu", popierając tym samym dziennikarzy. Słyszę, że „warszawskie schronisko to skandal". Że budynki stanęły jako prowizoryczne i tak już zostało. Kiedy jest upał, baraki nagrzewają się okropnie i psy nie mają czym oddychać. Zimą marzną, bo piecyki akumulacyjne się psują. Teren podmokły więc konstrukcje zaciekają. Aż trudno uwierzyć, że siedem lat temu Miejskie Przedsiębiorstwo Robót Budowlanych policzyło sobie za tę inwestycję trzynaście milionów złotych. Teraz najwyższy już czas, by doprowadzić schronisko do właściwego stanu technicznego. Najlepiej byłoby zbudować nowe, z odpowiednimi boksami, wybiegiem dla zwierząt, zapleczem technicznym. Mówi się o tym od lat, zwłaszcza, że obecny teren należy do lotniska i został miastu tymczasowo wypożyczony. Były już podobno sygnały, że właściciel potrzebuje z powrotem swego placu, tymczasem nikt nie dba o to, żeby zawczasu znaleźć jakiś nowy teren „na wszelki wypadek".

Słucham tych słów zdumiona. Pani prezes też nie wydaje się zadowolona z takiego przebiegu rozmów. Sugeruje, że wszystko w schronisku zmienia się na lepsze, że są szanse, aby poprawić byt jego pensjonariuszy, „trzeba tylko zostawić rzecz w spokoju, nie stwarzać atmosfery skandalu i nerwowości, co nie sprzyja reformom".

Zanim udaje mi się uzyskać zgodę na rozmowę o psach z osobą kompetentną w Ministerstwie Administracji, Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska, wykonuję całą masę telefonów. W jednym z departamentów urzędniczka jest oburzona, że chcę dyrektorowi zawracać głowę sprawą tak niepoważną, podczas gdy ma on dość problemów ludzkich. Gdzie indziej informują mnie, żeby dać spokój z „penetrowaniem" sytuacji Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami, bo

to dla resortu nic miłego. Towarzystwo, przejęte od Ministerstwa Rolnictwa w 1977 roku pod merytoryczny dozór, jest podopiecznym raczej kłopotliwym.

– Dużo w szeregach Towarzystwa osób samotnych i starszych; niekiedy z przedwojennej „elity" – mówi „osoba kompetentna" – wszyscy pchają się do Zarządu, zamiast naprawdę opiekować się zwierzętami. Pomiędzy aktywistami panują ciągłe przepychanki – swary, podgryzania. Dostajemy stosy skarg i donosów.

Dalej dowiaduję się, że „problem psi" absorbuje prawie cały czas i energię działaczy, chociaż Towarzystwo ma daleko szersze statutowe zadania. Były czasy, że Towarzystwo interesowało się np. losem koni. Teraz też mogłoby, tym bardziej że co pewien czas słychać, w jak skandalicznych warunkach przewożone są za granicę, głównie do Francji, konie przeznaczone na rzeź. Nierzadko bywa, że konie padają po drodze, bez wody, bez karmy i bez opieki. Były czasy, że interesowano się losem zwierząt doświadczalnych, służących nauce. Dziś, niestety, jest inaczej...

Kiedy przypominam o wychowawczej roli Towarzystwa i jego tradycjach, sięgających 1864 roku, słyszę, że nikt, oczywiście, nie neguje społecznej użyteczności Towarzystwa, jednak „odpowiednie urzędy" nie mogą zamykać oczu na złą gospodarkę finansową, niedowłady organizacyjne, nadużycia czy wreszcie bardzo kłopotliwą dla tych urzędów, złą atmosferę między działaczami. Ostatni zjazd TOZ skończył się „buntem prowincji". Do Zarządu Głównego nie została wybrana ani jedna osoba z Warszawy! A właśnie w Warszawie panowały między działaczami TOZ najostrzejsze konflikty. Może ten nowy układ personalny, będący wyrazem wewnętrznych niesnasek, sprawi, że działacze Towarzystwa zamiast rozgrywkami między sobą – zajmą się losem psów tak marnie bytujących w schroniskach, którym TOZ patronuje.

Nie we wszystkich schroniskach, będących w gestii TOZ (a jest ich dwadzieścia osiem, nie licząc dziewięciu prowadzonych przez władze poszczególnych miast) sytuacja jest tak zła jak w Warszawie. Zdzisława Krzemińska z Min. Gospodarki Komunalnej jest zdania, że byłoby lepiej, gdyby wszystkie schroniska przeszły pod miejski zarząd. Tak, jakby przynależność administracyjna mogła rozwiązać kłopoty z siłą roboczą i zmienić mentalność „pielęgniarzy".

Co innego, jeśli psy pielęgnuje ich właściciel, będący jednocześnie właścicielem schroniska. W Polsce jest kilka prywatnych schronisk, z których jedno prowadzi wdowa po słynnym jazzowym kompozytorze. Ale tak się dziwnie składa, że posiadacze prywatnych schronisk nie są działaczami TOZ...

7

Nie byłam w żadnym prywatnym schronisku, ale byłam w Celestynowie pod Warszawą, gdzie znajduje się w dużym ogrodzie, obok małej willi takie schronisko TOZ, które powszechnie uchodzi za o wiele lepsze od warszawskiego „na Paluchu". Niektórzy, wysyłający mnie do Celestynowa informatorzy, mówili nawet, że psy mają tam jak w raju!

No, z tym rajem to przesada. Może gdyby oprócz dobrodziejstwa codziennej pełnej miski psy mogły się w tym Celestynowie jeszcze swobodnie wyhasać. Klatki tu przestronniejsze, przestronny, ocieplany „hotelik" będący darem Hanki Bielickiej, nie czuje się przykrych woni, bo systematycznie utrzymywany jest porządek. Jednak braku najmniejszego choćby wybiegu dla zwierząt, nie jest w stanie zrekompensować nawet wchodzący na posesję las i świeże powietrze.

Schronisko w Celestynowie ma ciekawą genezę. Posiadłość tę - willę w ogrodzie, zapisała Towarzystwu Opieki nad

Zwierzętami pewna obywatelka Celestynowa, posiadaczka licznych psów, o których los bała się po swojej śmierci. Przekazywała więc nieruchomość TOZ, pod warunkiem, że Towarzystwo zorganizuje tam schronisko (dożywotnie) i że pierwszymi lokatorami schroniska będą psy testatorki.

Celestynów wydał mi się dobrym schroniskiem. Ale to przekonanie zachwiała opowieść znajomych o ich nieudanej próbie zostawienia tam na lato spanielki. Wyjeżdżali na wczasy pracownicze i z psem nie mieli co zrobić, a że słyszeli o Celestynowie – pojechali tam. Owszem, w hoteliku było miejsce. Ale „prywatnie" odradzono im. Wytłumaczono, że pobyt w hoteliku, gdzie warunki są surowe i nie ma opiekunów do wyprowadzania psa na spacer, zestresowałby „kanapowe" delikatne zwierzę. Znajomi dostali natomiast adres hoteliku prywatnego „gdzie ceny są wprawdzie nieco wyższe, ale opieka bardzo dobra". Z adresu tego skorzystali. I nie żałują.

Moi znajomi mogli pozwolić sobie na zapłacenie 200 zł za dobę, pozostawiając psa w prywatnej „przechowalni". Ale nie wszyscy są skorzy płacić takie sumy. A że w domach wczasowych nie przyjmuje się psów (na skierowaniach przybijana jest stosowna pieczątka) – zaczynają się dramaty. Jeśli ktoś z właścicieli psów wynajdzie miejsce, w którym psa nie wypędzają, strzeże adresu jak skarbu... A wszyscy się dziwią, dlaczego nie znajdzie się ani jeden dom wczasowy, który by „postawił" na psy. Zaczął je przyjmować wraz z właścicielami, oczywiście tak, aby dobrze na nich zarobić. Ostatecznie żyjemy w dobie reformy gospodarczej.

No, ale takich domów wczasowych nie ma. Rezultat? W okresie wakacyjnym widzi się w miastach dużo psów porzuconych. Wyrzuconych po prostu. Skazanych na powolną śmierć, bo pies bez człowieka w warunkach współczesnej cywilizacji, nie wyżyje. Już lepiej byłoby, wyjeżdża-

jąc na urlop, psy usypiać, nie wypędzać. Naprawdę.

Psy nie wpuszczane są też do lokali publicznych np. kawiarni, choć wiadomo, że pies nie upije się, nie narozrabia i nie będzie się kłócił z powodu złej jakości ciastek.

W ogóle psy niby są ukochanymi, wiernymi przyjacielami, ale są jednocześnie dyskryminowane przez ludzi na każdym kroku. Fatalne skutki daje traktowanie psa jak przedmiot, jak zabawkę. Zapominanie o tym, że posiadanie psa nakłada na właściciela szereg obowiązków. Moralnych również.

Największy ruch w schroniskach obserwują ich pracownicy w okresie gwiazdki, kiedy szuka się „czegoś" dla dziecka pod choinkę. Wielu osobom wydaje się, że takie rozwiązanie sprawy prezentu jest bardzo korzystne. Wydatek niewielki, a przy okazji ma się poczucie spełnienia dobrego uczynku.

Niestety, bardzo często się zdarza, że „zabawka" zawodzi nadzieje nowych właścicieli, nudzi dzieci. Niektóre zabawki „trafiają" więc ponownie do schroniska. Inne – na ulicę. Wyrzuca się psy z samochodów, czasem przywiązuje do latarni albo do przydrożnego drzewa. Prawdziwe bestialstwo.

„Człowieka poznaje się po jego stosunku do zwierząt" – mawiał prof. Kotarbiński, wielki humanista, słynny filozof, autor „Traktatu o dobrej robocie", honorowy (w przeszłości) członek TOZ.

W celestynowskim schronisku pokazano mi starszego, siwego pana. Każdej soboty i niedzieli przyjeżdża – bez względu na pogodę – na rowerze. Przywozi psom jakieś smakołyki.

– Nie ma się co dziwić, że tak postępuję – śmieje się dobrodusznie. – Mam wobec tych zwierząt dług wdzięczności na całe życie. Kiedy byłem chłopcem, pies – zwykły poczciwy kundel – uratował mnie przed utopieniem w gliniance. Rzucił się do wody i nieprzytomnego wyciągnął mnie na brzeg. Dlatego opiekuję się samotnymi zwierzętami ze schroniska. Cóż to za ofiara zdobyć dla nich trochę kaszanki?

Znajomy dozorca, pan Rysio, właściwie nie miałby nic przeciwko psom, gdyby tylko nie musiał po nich sprzątać. Bywa, że odchody leżą nawet na klatce schodowej, a lokatorzy oburzają się, jeśli zapytać, czy to nie ich zwierzęcia. W ogóle pan Rysio uważa, że admininistracja powinna dawać gospodarzom domów dodatki do pensji w zależności od tego, ile psów żyje w bloku. Wtedy sam pan Rysio składałby meldunki, kto miga się z opłatami...

– Diabli mnie biorą na ludzi. Idzie taka paniusia, wypindrzona, z psem. Ten kuca i załatwia się na środku chodnika, albo oblewa czyjś samochód. A ona nic... Powiem jej parę słów do słuchu, to jeszcze w czoło się popuka, albo grubym słowem rzuci. Zapłaciłaby porządny mandat, zaraz by się nauczyła, gdzie znaleźć dla zwierzaka odpowiednie miejsce...

– Byle nie na trawniku, pod moim oknem – przerywa sąsiadka z parteru.

Dziubińska uważa, że za psy płaci się u nas za mało. Co to jest sześćdziesiąt złotych podatku i trzysta złotych opłaty sanitarno-weterynaryjnej rocznie? Jak ktoś trzyma zwierzę powinien bulić parę tysięcy miesięcznie. Zaraz zapanowałby porządek.

– Nie daj Boże, żeby do tego doszło – przeraża się emerytka, ta co trzyma, zdaniem Dziubińskiej, obrzydliwego kundla. – Nie starczyłoby mi pieniędzy i musiałabym stracić jedynego przyjaciela, jaki mi w życiu pozostał. Dzieci o mnie zapomniały, wnuki mają swoje sprawy. Zostałam sama jak palec. On jeden mi pozostał. Taki rozumny, kochany. Mam o kogo się troszczyć, z kim porozmawiać. Czy pani wie, że kiedy podejdzie, położy mi łeb na kolanach, poliże ręce i patrzy w oczy, wydaje mi się że i pojmuje, i czuje więcej niż niejeden człowiek.

Andrzej W. Małachowski
ŚMIERĆ NA GRANICY

Strzałka szybkościomierza oscylowała w pobliżu stu czterdziestu. Lubił taką jazdę. Szybkość dodawała mu pewności. W ten sposób tłumił lekki niepokój. Nie, żeby bał się czegoś konkretnego. Zawsze, gdy organizował kolejny przerzut towaru, pojawiał się dreszcz emocji.

Do granicy pozostało dwadzieścia kilometrów. Gdzieś tu powinno nastąpić spotkanie. Zwolnił.

W światłach reflektorów dojrzał stojącą na poboczu furgonetkę i człowieka obok.

Zaczął hamować. Zatrzymał się tuż za stojącym wozem. Opuścił szybę. Mężczyzna ruszył od furgonetki w jego stronę.

– Na co czekasz? Jedziemy! – powiedział do podchodzącego.

– Jeszcze nie teraz – odrzekł tamten.

– Stało się coś?

– Tak – człowiek z furgonetki był już przy nim.

Chciał, być może, zapytać podchodzącego co się stało, ale w tym momencie zobaczył w jego ręce pistolet. W ułamku sekundy miał otwór lufy przed samymi oczami.

*

Samochód stał na poboczu, w miejscu gdzie szosa, przechodząc przez niewielki mostek, lekko się rozszerza tworząc

zatoczkę. Wiele osób go widziało, ale nikt nie zwracał nań uwagi, chociaż był to sportowy mercedes. Często zatrzymywały się tu różne pojazdy, a kierowcy „łapali" kilka godzin drzemki przed lub po przekroczeniu granicy.

Rankiem – 27 lipca 1980 roku – szedł tędy na grzyby milicjant z pobliskiego posterunku w Rzepinie. Wracał po południu i znowu zobaczył ten samochód. Zwrócił uwagę, że kierowca znajduje się ciągle w takiej samej pozycji. Podszedł bliżej i zorientował się, że w aucie jest martwy człowiek.

O godzinie 13.40 przyjechał patrol milicyjny, a w chwilę później karetka pogotowia. Lekarz popatrzył na trupa i orzekł, że przyczyną zgonu był zawał serca połączony z krwotokiem zewnętrznym.

Jeden z milicjantów znalazł w pobliżu czerwonego mercedesa łuskę od naboju. Odruchowo podniósł ją i schował.

Następnego dnia w szpitalu w Słubicach ten sam lekarz rozpoczął, zwyczajową w takich przypadkach, sekcję zwłok. I wtedy zorientował się, że z opinią na temat zawału serca trochę się pospieszył.

Denat miał przestrzeloną głowę.

Notatka w aktach

Ta historia zaczęła się dla mnie w lipcu 1981 roku. W Wydziale Kryminalnym Komendy Wojewódzkiej MO w Jeleniej Górze przeglądałem akta sprawy kradzieży obrazów Willmanna z kościoła w Krzeszowie i natknąłem się na notatkę:

„27 lipca 1980 roku w odległości 20 kilometrów od przejścia granicznego w Świeciu znaleziony został w samochodzie Mercedes 350 SL Karl Heinz Ruschin z Berlina Zachodniego, zastrzelony strzałem w głowę.

Ruschin wjechał do Polski poprzedniego dnia i awizował

jazdę do Poznania. W podróży towarzyszył mu, jadący samochodem Ford-bus Norbert P., prawdopodobnie «goryl» zastrzelonego".

Włożono tę informację do tych akt na zasadzie pewnej rutyny, w początkowej fazie śledztwa w sprawie kradzieży w Krzeszowie. W sprawę tę wmieszani byli bowiem obywatele RFN; Ruschin był mieszkańcem Berlina Zachodniego. Na początku lipca 1980 roku przyjechał do Polski Peter Andreas J. - organizator włamania do kościoła w Krzeszowie, a zastrzelonego Karla Heinza Ruschina znaleziono pod koniec lipca 1980 roku. To były zbieżności, które kazały komuś włożyć do akt kradzieży krzeszowskiej informację o śmierci Ruschina. I chociaż sprawy te, jak się później okazało, nie miały ze sobą nic wspólnego, ta informacja w aktach już została.

Było to wszystko, co w tamtym okresie wiedziałem o zabójstwie Ruschina.

Nieco później udało mi się zdobyć, mało początkowo precyzyjną informację, że władze polskie zwracały się do władz amerykańskich w Berlinie Zachodnim o pomoc prawną, w wyniku czego w Polsce pojawił się przedstawiciel Interpolu oraz funkcjonariusze FBI specjalizujący się w zwalczaniu handlu narkotykami.

I to było wszystko. Przez długi czas w żaden sposób nie mogłem ruszyć ani na krok dalej w poznaniu przyczyny śmierci Ruschina. Osoby, do których trafiałem, nie chciały lub nie potrafiły wskazać dalszego tropu. Przez kilka lat dreptałem dookoła, notując plotki i strzępy informacji. Wreszcie w 1984 roku mały sukces: udało mi się ustalić imię i nazwisko pana K., bliskiego polskiego znajomego Karla Ruschina, wreszcie jego adres, a po trwających pewien czas pertraktacjach - namówić go na spotkanie. W tym samym mniej więcej czasie, przy okazji zbierania materiałów do zu-

pełnie innego reportażu, natrafiłem wreszcie na ludzi, którzy przy sprawie Ruschina pracowali i chcieli coś niecoś powiedzieć. Obejrzałem również niektóre dokumenty sprawy „Steyer" – bo taki kryptonim nadano śledztwu w związku z zabójstwem Ruschina.

I tak udało mi się skompletować niemal całą mozaikę. Wiele pól zostało w niej białych, ale też i w prowadzonym śledztwie nie wszystko zostało wyjaśnione.

10 kilogramów haszyszu

Berlin Zachodni, 10 lipca 1980 roku. W jednej z knajp 10 kilogramów haszyszu zmienia właściciela. Gdy transakcja jest na finiszu, gwałtowne otwarcie drzwi zacisznego pomieszczenia na zapleczu lokalu i nieco ironiczne:

– Panowie! Rączki na stół! – dwaj faceci z pistoletami zabierają cały towar. Dziesięć kilogramów „haszyszu" znika.

W środowisku handlarzy narkotyków konsternacja. Takiej przewalanki nikt tu dawno nie wykonał. Kilka osób z tego środowiska bardzo chciałoby znać autorów tego skoku. Ale tajemnica jest mocno strzeżona. I tylko bardzo nieliczne grono wie, że zamaskowanymi napastnikami byli Norbert P. i niejaki Paul. (Nazwiska tego drugiego osobnika nie dało się ustalić).

Norbert P. należną mu z tego skoku połowę towaru, czyli 5 kg haszyszu, jeszcze tego samego dnia przywiózł do kameralnej, należącej do Karla Heinza Ruschina, restauracji przy Meranerstrasse. Dwa z pięciu kilogramów szybko znalazły nabywcę, ale ze zbyciem trzech pozostałych zaczęły się kłopoty. Nikt z poważnych odbiorców nie chciał kupić tej partii. I to ze względu na jej pochodzenie jak i dlatego, że „hasz" okazał się dosyć kiepskiego gatunku.

Z tymi trzema kilogramami haszyszu dzieją się później

rzeczy, które trudno obecnie odtworzyć precyzyjnie, ale które niewątpliwie miały bezpośredni wpływ na los Ruschina zakończony finałem w nocy z 26 na 27 lipca 1980 roku.

Między 10 a 17 lipca 1980 roku w restauracji przy Meranerstrasse doszło do spotkania Petera Z., pomocnika Ruschina z niejakim P. Spotkanie to namotał Ruschin. P. zobowiązał się znaleźć kupca na 3 kilogramy haszyszu. Skontaktował się z hurtownikiem z Frankfurtu nad Menem. Przekazał mu próbkę haszyszu oraz uzgodnił datę i godzinę przekazania całej partii towaru. Jednak o umówionej porze do mieszkania P. zamiast kupca z Frankfurtu nad Menem wpadła policja zachodnioberlińska. Haszysz został skonfiskowany, a P. aresztowano.

Wystraszony takim obrotem sprawy Peter Z. pożyczył od Ruschina jeden z jego samochodów – niebieskiego mercedesa i wyjechał do Republiki Federalnej Niemiec. Po kilku dniach zatelefonował, pytając czy interesuje się nim policja. Ruschin odpowiedział podobno: „powietrze jest czyste" i wtedy Peter Z. podał datę i godzinę swego powrotu.

Gdy w czwartek – 17 lipca 1980 roku przekraczał w drodze powrotnej granicę Berlina Zachodniego, zatrzymany został na przejściu. Jego aresztowanie nie było przypadkowe. Policjanci czekali na niego i bezbłędnie, z całego sznura aut, wytypowali do sprawdzenia niebieskiego mercedesa. Ktoś Petera Z. po prostu wsypał.

Tego samego dnia, gdy zatrzymano Petera Z., około północy, Ruschin odwiedził zaprzyjaźnionego restauratora, który wcześniej był odbiorcą dwóch kilogramów haszyszu z zagrabionej partii. Rozmowę prowadzono w prywatnym biurze restauratora już po zamknięciu lokalu i brał w niej udział jeszcze jeden mężczyzna.

Ruschin prosił, by w trakcie ewentualnego przesłuchania, jego rozmówcy nie ujawnili, że kupowali od niego haszysz.

Przy okazji wszyscy trzej „dogadali się", że wiedzą o źródle pochodzenia tego towaru, czyli o rabunku. Ruschina bardzo interesowało, komu ten narkotyk zabrano, ale odpowiedzi na to pytanie nie otrzymał. Dwaj jego kontrahenci chcieli natomiast wiedzieć, kto sypnął P., w wyniku czego po haszysz przyszła policja, a nie hurtownik z Frankfurtu.

Nieco wcześniej - jeszcze przed aresztowaniem - Peterowi Z. proponowano 2 tysiące DM za ujawnienie informacji, kto dokonał napadu na handlarzy narkotyków. Z. o wszystkim wiedział, ale słówka nie pisnął, ponieważ sam był w ten napad zamieszany.

W efekcie tego wszystkiego wokół Ruschina wytworzyła się dosyć dwuznaczna atmosfera. Byli ludzie, którzy podejrzewali go, że sypnął transakcję w mieszkaniu P. oraz wystawił do aresztowania Petera Z. Powiadano, że w ten sposób „płaci" policji za przymykanie oczu na nielegalne transakcje odbywające się w jego lokalu.

Jednak do końca nie jest wiadomo, jak głęboko zamieszany był w sprawy narkotyków Ruschin. Istnieją dwie, przeciwstawne zresztą, opinie.

Pierwsza z nich: Ruschin miał ścisłe powiązania z handlarzami narkotyków, a haszyszem faszerował przywożone z Polski papierosy „Marlboro".

Druga: Ruschin zetknął się z narkotykami przypadkowo, głównie przez swojego współpracownika, „goryla", pomocnika itp. - Petera Z. i wplątał się w aferę nieświadomie.

Podróże do Polski

Była godzina 7.30 rano, gdy 26 lipca 1980 roku w mieszkaniu pana K. w Poznaniu zadzwonił telefon.

- Jestem już - mężczyzna po drugiej stronie mówił po niemiecku. - Czekam.

– Za pół godziny będę – odpowiedział pan K. – Towar jest przygotowany.

Heinz Karl Ruschin przejechał granicę polską o godzinie 4 rano. Około siódmej był w Poznaniu-Przeźmierowie, gdzie zatrzymał się w ajencyjnym „Inter-Motelu".

W komputerze Biura Paszportowego MSW odnotowano, że był to jego trzydziesty pierwszy pobyt w Polsce w ciągu ostatnich czterech lat.

Tym razem Ruschin przyjechał czerwonym, sportowym Mercedesem 350 SL o numerach rejestracyjnych RH-R-177. Wraz z nim przybył Norbert P., wypożyczonym w biurze wynajmu samochodów w Berlinie Zachodnim białoniebieskim fordem-busem.

Od czterech lat Ruschin zawsze przyjeżdżał do Polski w duecie i zawsze dwoma samochodami, z których jeden bywał wypożyczony. Miało to swoje głębsze uzasadnienie. Wcześniej jeździł z Ruschinem Peter Z. – stały „goryl", którego policja zatrzymała 17 lipca na przejściu granicznym w Berlinie Zachodnim.

Właściwie postępowanie Ruschina wydawać się może niezrozumiałe. Nalot policji na mieszkanie P. w Berlinie Zachodnim i konfiskata haszyszu, później aresztowanie Petera Z., w mniej czy bardziej wyczuwalny sposób zagęszczało atmosferę wokół niego. Bardziej zrozumiałe byłoby, gdyby ze swoim biznesem, wiążącym się z przyjazdami do Polski, przywarował. Może jednak nie dostrzegał tej sytuacji, może wręcz przeciwnie: zrobioną przez policję czystkę w środowisku handlarzy narkotyków, jeżeli miał z nią coś wspólnego, potraktował jako sytuację sprzyjającą swoim interesom. Jeżeli przyjąć, że nadał władzom trop na pętające się w jego otoczeniu trzy kilogramy „haszu", mógł teraz oczekiwać rewanżu i patrzenia przez palce na to co robił. Może wreszcie w kolejną podróż do Polski już zainwestował, zorganizował

wszystko i rezygnacja z tego wyjazdu oznaczałaby stratę włożonych pieniędzy.

Interes, który uprawiał Ruschin, był prosty. Zresztą nie przez niego wymyślony. On rozwinął go jedynie do granic hurtu.

W sklepach pewexowskich Ruschin kupował duże partie papierosów Marlboro. Zarobek polegał w zasadzie na ominięciu cła przy wywożeniu towaru do Berlina Zachodniego. Z punktu widzenia polskich przepisów, działalność Ruschina nie była przestępstwem. Kupował towar za dewizy i mógł robić z nim co chciał. Otrzymywał nawet – zgodnie z przepisami – zaświadczenie, które otwierało mu polskie komory celne. Towarem nie interesowali się również celnicy z NRD, ponieważ towar wieziony był tranzytem. Kłopot zaczynał się dopiero przy wjeździe do Berlina Zachodniego, ale to już była zupełnie inna sprawa.

W dokumentach śledztwa w sprawie śmierci Ruschina znalazłem wyliczenie, że jednorazowy przerzut papierosów dawał zarobek w granicach 5 tys. dolarów.

Pan K. twierdzi jednak, że jest to rachunek zawyżony. Jednorazowo kupowano papierosy za 8–10 tysięcy DM. Po odliczeniu kosztów podróży, wynajmu samochodu, doli dla „goryla" i działki dla celnika na przejściu granicznym w Berlinie Zachodnim, nie mogło to przynosić większego zysku jak 2 tysiące dolarów.

To i tak nieźle.

Spotkanie w hotelu „Poznań"

Pan K., bliski znajomy Ruschina, wydawał mi się najlepszym źródłem informacji o Ruschinie, interesach w Polsce, a może nawet i jego śmierci.

Ale pan K. nie jest wcale chętny do zwierzeń. Najpierw,

gdy przez osobę trzecią zwracam się do niego z prośbą o rozmowę, reaguje niechętnie. Później, tę niechęć i ogromną rezerwę przenosi na bezpośrednie kontakty telefoniczne.

Nareszcie godzi się na spotkanie pod warunkiem, że zagwarantuję mu całkowitą anonimowość. Właściwie wolałby do tamtej sprawy nie wracać. Raz, że była dla niego wstrząsem, dwa, że po prostu się boi. O tym, że w jej tle pojawiły się narkotyki, dowiedział się dopiero później. Zresztą on osobiście nie wierzy, że Kale – jak nazywali Ruschina, miał z narkotykami coś wspólnego.

– Jaki był w ogóle Ruschin? – powtarza moje pytanie pan K. i odpowiada: – Był pewny siebie, taki który nigdy nie przyzna się do porażki. Ale jednocześnie bardzo skryty. Na przykład, już po śmierci Kalego dowiedziałem się, że odsiedział w NRD kilka lat za współorganizowanie przerzutu ludzi ze Wschodniego do Zachodniego Berlina. On sam nie wspomniał o tym ani słowa.

Po odsiedzeniu wyroku w NRD, Ruschin zamieszkał w RFN, a po pewnym czasie pojawił się w Berlinie Zachodnim i osiadł tu na stałe. Korzystając z finansowej pomocy rodziny oraz z kredytu bankowego, otworzył przy Meranerstrasse małą, ale elegancką restaurację.

– Nie pamiętam już nazwy tego lokalu – mówi pan K. – Sam lokal był niewielki, wyłożony na ciemno boazerią. Jakieś piętnaście stolików. Usytuowany na rogu, w pobliżu stacji benzynowej. Specjalnością restauracji była dziczyzna. Nie pamiętam, żeby ruch bywał w niej duży. Wiem, że główny zarobek Ruschina brał się z organizowanych tu wesel lub okolicznościowych bankietów.

Ogólnie jednak biorąc – jakby to wynikało z akt – Ruschin mógł uchodzić za człowieka zamożnego. Wartość restauracji określono w 1980 roku na 160 tysięcy DM, poza tym miał

mieszkanie, biżuterię i trzy mercedesy, których łączną wartość określono na 100 tysięcy DM.

Wydaje się jednak, że znaczną część dochodów z restauracji pochłaniała spłata kredytów bankowych oraz innych zadłużeń. Dlatego Ruschin poszukiwał dodatkowych źródeł zarobków. I stąd – być może – wplątanie się w aferę z narkotykami i hurtowy „import" papierosów z Polski.

Pan K. o tym wszystkim nie wie. To znaczy nie wie o narkotykach, finansowej sytuacji Ruschina, chociaż skłonny był traktować go jako człowieka zamożnego.

– Ci wszyscy Niemcy z RFN i Berlina Zachodniego – mówi – których znam, grali tu w Polsce role wielkich bogaczy, ale tam, u siebie, byli ludźmi wręcz ubogimi. Kale był inny. On naprawdę miał pieniądze, ale też umiał je robić. Tu, u nas, nie odstawiał milionera. Nie powiem, miał gest, ale to nie było takie na pokaz.

Rozmawiamy z panem K. w kawiarni hotelu „Poznań". Mój rozmówca wyznaczył tutaj spotkanie. Pan K. przypomina sobie, że prawie pięć lat temu, tu w hotelu „Poznań", tyle że w restauracji, siedział pewnego wieczoru z Ruschinem. Była to jego przedostatnia wizyta w Polsce.

Kulka śrutu

– Przed samym wyjazdem przyszliśmy tu na kolację – opowiada K. – Kale znalazł w karcie bażanta. Ciekawy był, jak przyrządzają go w Poznaniu. Chciał porównać z tym, co podaje w swojej knajpce.

Wzięliśmy więc bażanty i Kale trafił w swoim na kulkę śrutu. Roześmiał się i wziął tę kulkę na pamiątkę. Później, gdy zginął przypomniało mi się to zdarzenie. I nabrałem przekonania, że to była zapowiedź nieszczęścia.

– Zresztą – mówi dalej pan K. – zawsze być może się tak

dzieje, że gdy coś się stanie, niektóre banalne w innych sytuacjach zdarzenia nabierają znaczącego wymiaru. Gdy był u mnie po raz ostatni, ubrał się na drogę powrotną na ciemno. Włożył między innymi ciemną koszulę. Później również pomyślałem, że ubrał się tak, jakby podświadomie przeczuwał nieszczęście, jakby jechał na pogrzeb. Faktycznie pojechał na własną śmierć.

- Czy bał się czegoś? Nic takiego nie zauważyłem, nie wyczułem. Był taki jak zawsze, nawet nie dawał po sobie poznać, że jest trochę podekscytowany. A czy był lekko zaniepokojony? Na pewno tak, ale z powodu tych papierosów, które przewoził. No, bo ostatecznie, jeżeli patrzeć na to z punktu widzenia władz Berlina Zachodniego, była to kontrabanda, przemyt i zawsze coś mogło się stać. A konsekwencje takiej wpadki mogły być różne. Powody więc do niepokoju miał na pewno i myślę, że niepokój ten zabijał w czasie podróży bardzo szybką jazdą. Koncentrował się wtedy na prowadzeniu samochodu i nie myślał o niczym innym.

*

Cofnijmy się trochę w czasie - do 26 lipca 1980 roku. Tego dnia, wczesnym rankiem, Ruschin przyjechał po raz ostatni do Polski. Wizyta była wcześniej awizowana.

- Kale - mówi pan K. - dzwonił zwykle dwa-trzy dni przed przyjazdem. Pozwalało mi to na zorientowanie się, w których sklepach „Pewexu" są odpowiednie partie papierosów. Tak się bowiem zdarzało, że brakowało ich w Poznaniu i wtedy musiałem telefonować do Wrocławia, Katowic itd., a po przyjeździe Ruschina jechałem z jego pomocnikiem lub z nim samym po zakupy.

Jak wynika z akt oraz dalszej opowieści pana K., papierosy zawsze kupowane były już po przyjeździe Ruschina. To

znaczy, nigdy nie odbyło się to w ten sposób, że Ruschin pozostawiał panu K. pieniądze, a ten gromadził towar. Teoretycznie taki sposób zakupów byłby wygodniejszy. Nie był jednak praktykowany z kilku powodów.

Po pierwsze, Ruschn był chyba wyjątkowo ostrożny i nie chciał wypuszczać z rąk większych sum, nawet nie dlatego, że panu K. nie ufał. Po prostu taki już był w interesach. A poza tym pozostawienie w Polsce na dwa, trzy tygodnie sumy rzędu 10 tysięcy marek, uważał zapewne za niepotrzebne zamrażanie kapitału, którym mógł obracać u siebie z zyskiem. Po drugie – ostrożny był pan K. Wzięcie od Ruschina pieniędzy, kupowanie na zlecenie obcokrajowca papierosów, byłoby działalnością zahaczającą o określone paragrafy ustawy karno-skarbowej. I zawsze ktoś mógł się przyczepić.

– Nie wierzy pan, że nie brałem doli od tych papierosów? Nie dziwię się panu. Proszę jednak zrozumieć, że to wszystko nie było takie proste. Myśmy byli z Kalem bardzo zaprzyjaźnieni, nasza znajomość trwała od kilku lat, a w ostatnim czasie – tzn. już przed samą śmiercią Ruschina – planowaliśmy założenie w Polsce wspólnej firmy, więc tak naprawdę, gdy pomagałem przy interesach z papierosami, czyli gdy pomagałem Ruschinowi zgromadzić pewien kapitał, w jakimś sensie działałem również na własną korzyść. I to jest odpowiedź na pańskie wątpliwości. Ruschin – kontynuuje pan K. – to był bardzo fajny facet. Przyznam, że imponował mi, że był – w jakimś sensie – również gwarancją mojego sukcesu. Na tej znajomości układałem plany na przyszłość. Poza tym ja, podobnie jak Kale, również lubię i potrafię robić interesy. To mnie pociąga, mam zresztą do tego dobrą rękę.

A wracając do Ruschina – pan K. przerywa swoje refleksje. – Poznaliśmy się w drugiej połowie lat siedemdziesiątych w Berlinie Zachodnim. Byłem tam z bratem lub narzeczoną.

Tego już dokładnie nie pamiętam i mieszkaliśmy u niejakiego Jenza. S. Jenz również przyjeżdżał do Polski po papierosy i alkohol, ale ja miałem z nim bardzo luźny związek. S. pracował u Kalego jako bufetowy. Wtedy też po raz pierwszy widziałem lokal Ruschina.

Wiem, że w tamtym okresie Ruschin zaczął nawijać papierosowy interes do spółki z Jenzem. Kale ten interes po prostu finansował. Później nastąpiło między nimi zerwanie. Ruschin zaczął podejrzewać, że Jenz robi go „na szaro" w rozliczeniach. Następnie ktoś ukradł Jenzowi furgonetkę z całym transportem, o co podejrzewał Kalego. Jak było naprawdę - nie wiem. W każdy razie ich znajomość się rozpadła. S. zaczął robić interesy na własny rachunek z Polakami z okolic Warszawy, Ruschin zaś zaczął korzystać z mojej pomocy.

Stał się dosyć częstym gościem w moim domu. A za gościnę i moją pomoc w załatwianiu papierosów, rewanżował się w różny sposób. Przywiózł na przykład pewnego razu, w samym środku zimy, świeże truskawki. Sprezentował nam część wyposażenia mieszkania itd. W najbliższej zaś przyszłości - mówię to z perspektywy 1980 roku - planowaliśmy, jak wspomniałem, założenie firmy polsko-niemieckiej i pierwsze kroki w tym kierunku poczyniliśmy.

Ucieczka z granicy

Zwykle Ruschin przyjeżdżał do Polski z Peterem Z. Tym razem, wskutek aresztowania, pomocnik ten odpadł i Ruschin zaczął szukać innego. Początkowo na jazdę zgodził się brat Petera Z., ale okazało się, że z różnych powodów pojechać może później. W ten sposób „nawinął" się znajomy Petera Z. - Norbert P., z pochodzenia Jugosłowianin, mieszkający na stałe w Berlinie Zachodnim. Ruschin wypła-

cił mu 500 DM, jako wynagrodzenie za jazdę, dał pieniądze na wynajem samochodu, a sam załatwił w Polskiej Misji Wojskowej jednodniowe wizy dla obu.

Jak później ustaliła polska milicja, zarówno pomocnika jak i wynajęty samochód Ruschin potrzebował ze względów bezpieczeństwa.

Wszystko wskazuje na to, że na przejściu granicznym Ruschin miał swojego człowieka. Przekraczano więc granicę wtedy, gdy człowiek ów pełnił dyżur. I to była taka pierwsza klamra bezpieczeństwa. Drugą stanowił pomocnik i wynajęty samochód. W razie wpadki pomocnik całą odpowiedzialność brał na siebie, ryzykował w sumie niewiele. Był też plan dodatkowy przewidujący ucieczkę z granicy.

Przekroczenie granicy odbywało się zwykle w terminie zawczasu uzgodnionym. W pobliże przejścia podjeżdżała od strony Berlina Zachodniego narzeczona Ruschina – Marlies W. i ustawiała samochód w bocznej uliczce. Z tego miejsca miała widok na to, co się działo na przejściu. O określonej godzinie pojawiały się na granicy w niewielkich odstępach czasowych dwa samochody: mercedes Ruschina i wynajęty, prowadzony przez „goryla" furgon z papierosami.

Pewnego razu na przejściu nie było zaufanego człowieka, a celnicy zachodnioniemieccy zaczęli wykazywać nadmierną ciekawość ładunkiem furgonu.

Peter Z., który siedział za kierownicą wozu wiozącego papierosy dodał gwałtownie gazu i... uciekł z granicy.

W tym samym niemal momencie Marlies W., która obserwowała to zdarzenie z pewnej odległości, wtoczyła się swoim samochodem na ulicę wiodącą do przejścia i zatrzymała wóz, blokując w ten sposób drogę ewentualnej pogoni.

Tymczasem furgon z papierosami przejechał pełnym gazem do pierwszej przecznicy i skręcił znikając w uliczkach Berlina Zachodniego.

Po kilku godzinach policja wiedziała oczywiście kto siedział za kierownicą tego samochodu, ale wtedy papierosy były już ukryte. Peter Z. tłumaczył się, że... znudziła go marudność celników i że w ogóle się spieszył. Całe zdarzenie zakończyło się niezbyt wysoką grzywną.

Peter Z. mógł sobie jednak pozwolić na taki numer, bo w sumie niewiele ryzykował: grzywnę, ewentualnie krótką odsiadkę rekompensowane zresztą przez Ruschina. Dla Ruschina zaś mieszanie się w kontrabandę byłoby wysoce ryzykowne, groziło stratą koncesji na prowadzenie restauracji. W sumie więc zatrudnianie „goryla", który brał ewentualnie na siebie winę i wynajmowanie furgonu, co wydłużało drogę ustalenia przez policję, kto tym furgonem jechał, opłacało się.

Wiele jednak wskazuje na to, że działalność Ruschina, polegająca na szmuglu papierosów z Polski, była zachodnioberlińskiej policji znana, ale traktowana trochę z przymrużeniem oka.

Ostatnia wizyta

Rano, 26 lipca 1980 roku, po telefonie Ruschina zawiadamiającym o przyjeździe, pan K. pojawił się w krótkim czasie w „Inter-Motelu".

– Papierosów w Poznaniu nie ma – powiedział do Ruschina. – Będziemy musieli pojechać do Wrocławia. Dzwoniłem tam, obiecali przygotować większą partię.

– Dobrze – odpowiedział Ruschin – pojedziecie ty i Norbert do Wrocławia. Powinniście obrócić do wieczora, bo wizy mamy tylko jednodniowe i około czwartej w nocy musimy przekroczyć granicę.

Pan K. wraz z Norbertem P. pojechali do Wrocławia. Byli tam około południa, w dwóch lub trzech sklepach „Pewexu"

kupowali papierosy. Zjedli jeszcze obiad w Nowotelu i wrócili około 21 do Poznania.

Podróż tę odbyli volkswagenem-busem, samochodem Ruschina, który wcześniej pozostawiony został w Polsce.

Zdaniem polskiej milicji przetransportowanie tego wozu do Polski miało na celu obniżenie kosztów operacji przerzutu papierosów. Jeżdżenie po Polsce wynajętym samochodem nabijało kilometry i w sumie podrażało koszty wynajmu. Wygodniejszy i tańszy był samochód znajdujący się na miejscu. Pan K. twierdzi natomiast, że pozostawienie volkswagena w Polsce było zbiegiem przypadków. W samochodzie tym rozbiła się pewnego dnia szyba, Ruschin więc pozostawił go u pana K. i w czasie kolejnej podróży przywiózł szybę. (W Polsce nie można było takiej dostać). Okazało się jednak, że pomylił się i przywiózł niewłaściwy rozmiar. Została ona prowizorycznie zainstalowana, ale samochód nadal pozostawał w Polsce, co zresztą było wygodne dla pana K., bo korzystał z tego pojazdu przy dowożeniu materiałów na budowę pomieszczeń swojego warsztatu, bazy przyszłej firmy, którą założyć miał do spółki z Ruschinem.

Z Wrocławia wrócili wieczorem.

– Właściwie z całej jazdy – mówi pan K. – niewiele już dzisiaj pamiętam. Podczas drogi wymienialiśmy z Norbertem P. tylko jakieś zdawkowe uwagi. Zresztą ten cały Norbert specjalnie nie przypadł mi do gustu. To był młody człowiek, znacznie młodszy od Ruschina. W sposobie zachowania jakby kopiował Ruschina, co robiło wrażenie dosyć drażniącej maniery. Widać Kale imponował mu i P. próbował zachowywać się „pod niego".

Prowadziliśmy samochód na zmianę. To znaczy w jedną stronę Norbet, w drugą ja. Ale który prowadził w którą, ja do Wrocławia, czy z Wrocławia – naprawdę nie pamiętam. Nie ma to jednak żadnego przecież znaczenia.

We Wrocławiu za papierosy płacił Norbert P. Było tego za jakieś siedem, osiem tysięcy marek.

Po powrocie wstąpiliśmy jeszcze do mnie, dałem Norbertowi karton radzieckiego szampana, a następnie podjechaliśmy pod „Inter-Motel". Tutaj przeładowaliśmy papierosy z volkswagena do forda-busa i ja z Ruschinem pojechaliśmy załatwić jakieś drobne sprawy. Norbert P. zaś poszedł do pokoju, by przespać się godzinę przed podróżą.

Wróciliśmy o dziesiątej, może dziesiątej trzydzieści. Norbert już nie spał i szykował samochód do drogi. W jakieś kilkanaście minut później odjechał.

Z Ruschinem umówili się na spotkanie tuż przed przejściem w Świecku. P. miał na niego czekać na poboczu drogi. Dalszą podróż przez NRD i przejście graniczne w Berlinie Zachodnim mieli odbyć razem.

Podjechaliśmy z Kalem na moją działkę budowlaną i tu pomogłem mu umyć samochód. On był zawsze taki pedantyczny, bardzo dbał o własną elegancję i estetykę otoczenia. Jeszcze trochę pogadaliśmy, umówiliśmy się, że zaraz po powrocie zatelefonuje. I pojechał.

Pamiętam jak dziś – mówi dalej pan K. – powiedziałem do niego „Gute Reise" i tyle go widziałem.

Z Poznania do przejścia w Świecku jest 180 kilometrów. Jadący fordem-busem Norbert P. mógł tę odległość pokonać w czasie 2,5–3 godziny. Ruschin przejeżdżał ten odcinek w półtorej godziny.

– Kale – mówi pan K. – jeździł niewiarygodnie szybko. Pamiętam, jechaliśmy kiedyś z Poznania do Warszawy. Miejscami szybkość dochodziła do 200 kilometrów na godzinę. Kale musiał w pewnym momencie zwolnić, bo wrony, które obsiadły szosę, nie zdążyły poderwać się do lotu. Kilka kilometrów przed Warszawą natknęliśmy się na kontrolę radarową. Milicjant siedzący przy rada-

rze w fiacie nie zdążył nawet wysiąść z samochodu.

W dzień czy dwa po wyjeździe Ruschina zatelefonowała do pana K. z Berlina Zachodniego Marlies – narzeczona Kalego i bardzo zaniepokojona zapytała, co się stało z Ruschinem. Czy przedłużył pobyt w Polsce i dlaczego? Powiedziała też, że Norbert P. pojawił się już w Berlinie Zachodnim, ale on też nie wie, co się z Kalem stało.

– Wiadomość, że Kale nie dojechał do Berlina Zachodniego była dla mie ogromnym zaskoczeniem. Ostatecznie pożegnałem go, gdy ruszał w drogę powrotną, umówiłem się, że zaraz po powrocie zatelefonuje. Nic więc nie świadczyło o tym, że miał jakieś plany. Zacząłem więc go szukać.

Trup w samochodzie

Identyfikacja wstępna człowieka, którego ciało znaleziono w stojącym na poboczu drogi E-8 czerwonym, sportowym mercedesie nie przedstawiała większych problemów. W aucie były dokumenty na nazwisko Karla Heinza Ruschina, 37-letniego obywatela Berlina Zachodniego. Czy dokumenty te należały do nieboszczyka, oczywiście była to sprawa do dalszego ustalenia i sprawdzenia. W każdym razie trop był jasny, należało ustalić, co Ruschin robił w Polsce, z kim się kontaktował i w ten sposób dotrzeć do osób, które mogły go zidentyfikować.

Na całym jednak śledztwie od początku zaciążył błąd lekarza. Skoro uznał on, że przyczyny śmierci są naturalne, nie było sensu i podstaw wszczynania sprawy i przeprowadzania szeregu związanych z nim czynności.

Prawdziwym szczęściem było to, że znaleziono łuskę od naboju, którą na zasadzie pewnego rutynowego odruchu podniósł z szosy jeden z milicjantów. Nie przeprowadzono też w pierwszych godzinach po znalezieniu ciała, dokładnych

oględzin wnętrza samochodu. A z samochodem tym, po jego znalezieniu miało do czynienia wiele osób zostawiających w jego wnętrzu różne ślady. Później ślady te, szukając innych potrzebnych dla śledztwa, trzeba było pracowicie eliminować. Auta tego, wyjątkowo nietypowego jak na polskie warunki, nie potrafili uruchomić mechanicy milicyjni. Nie umiano podnieść elektrycznie sterowanych okien bocznych itd. Ostatecznie samochód ten załadowano na platformę i dotransportowano do Słubic. Ile się jednak osób do niego dotknęło, Bóg jeden raczy wiedzieć.

Pewnym szokiem było ujawnienie przez lekarza następnego dnia prawdziwej przyczyny zgonu. Sekcję przerwano, ściągnięto pilnie z Zakładu Medycyny Sądowej AM w Szczecinie dr. Bogdana Ponhke i rozpoczęto śledztwo.

Sekcja odbyła się 29 lipca 1980 roku w szpitalu w Słubicach. Dr Ponhke stwierdził ranę postrzałową głowy. Wlot pocisku znajdował się tuż nad łukiem lewego oka, a wylot z prawej strony głowy, 8,5 cm za prawą małżowiną uszną.

Pierwszy z lekarzy, ten który oglądał ciało Ruschina na drodze, wziął ranę wlotową pocisku za zasinienie spowodowane jakimś wcześniejszym urazem. Zresztą na jego usprawiedliwienie można dodać jedynie, że sprawca usunął wiele śladów, wytarł m.in. ofiarę ręcznikiem, w każdym razie wykonał kilka czynności, by zgon robił wrażenie, przynajmniej na pierwszy rzut oka, naturalnego. No i lekarz dał się zasugerować, a widoczną w samochodzie krew wziął za wynik zewnętrznego krwotoku.

Bezpośrednią przyczyną śmierci było rozerwanie dwóch ostatnich kręgów szyjnych i uszkodzenie tętnicy międzykręgowej. Pocisk bowiem szedł po linii od lewego łuku brwiowego do karku. Stwierdzono poza tym uszkodzenia przez drobiny prochu tkanki skórnej w obrębie rany wlotowej. Wskazywało to, że strzał został oddany z bardzo bliskiej

odległości 30–50 cm, a więc niemal z przyłożenia pistoletu do głowy.

Gdzie jest Kale?

O godzinie 3.30 w niedzielę 27 lipca 1980 roku – co odnotowane zostało przez placówkę WOP – Norbert P. przekroczył granicę w Świecku. W Berlinie Zachodnim był około 6 rano. Przed siódmą zatelefonował do narzeczonej Ruschina.

– Marlies, czy Karl już wrócił? – zapytał.

– Jak to się stało, że przyjechałeś sam? – odpowiedziała pytaniem.

Norbert P. powiedział jej wtedy, że Ruschin pozostał dłużej w Polsce. Co prawda spotkali się na szosie przed granicą, ale Karl zawrócił, chwilę tylko porozmawiali i uzgodnili, że Ruschin dogoni go na terenie NRD. Ale nie dogonił. On sam zresztą, czyli Norbert P., miał poważne kłopoty. Policja Ludowa NRD zabrała mu cały transport papierosów. Kilka godzin później z twierdzenia tego wycofał się i tłumaczył, że powiedział to specjalnie, żeby „zaspaną Marlies rozbudzić". Ale Marlies odebrała to inaczej. Zaczęła przypuszczać, że P. chce sprzedać papierosy na własną rękę, że Ruschin wypadł z gry. Jeszcze wtedy nie obawiała się, że z narzeczonym stało się coś złego, ale jego przedłużający się pobyt w Polsce był dla niej zaskoczeniem.

Tego samego jeszcze dnia spotkała się z Norbertem P. i odebrała od niego papierosy. Miały one rynkową wartość w Berlinie Zachodnim w granicach do 20 tysięcy DM. Dziesięć kartonów z tej samej partii za sumę 3,5 tysiąca marek Marlies W. jeszcze tej niedzieli sprzedała. Reszta została do zbycia następnego dnia.

W czasie spotkania z Norbertem P. powtórzy on raz jeszcze, że z Ruschinem spotkał się w nocy, kilka kilometrów

od granicy. Karl dogonił go, zatrzymał i kazał oddać około półtora tysiąca marek pozostałych z pieniędzy przeznaczonych na zakup papierosów. Następnie zawrócił i odjechał.

Norbert P. powiedział jeszcze, że w mercedesie Ruschina zauważył dwie osoby: mężczyznę i kobietę – blondynkę. Po głosie zorientował się, że są to ludzie młodzi, o czym jednak rozmawiali nie rozumiał, bo mówili po polsku.

P. sugerował, że Ruschin pozostał w Polsce z powodu kobiety. Wyraźnie bagatelizował całą sprawę. Marlies W. – jak później to określiła – wyczuwała w jego zachowaniu nieszczerość i dlatego nie wierzyła w to co mówi.

Zaczęła przede wszystkim szukać telefonicznego kontaktu z panem K. Ale nie było to takie proste, bo pan K. cały dzień był nieobecny w domu. Później, gdy się wreszcie połączyli, nie mogli się porozumieć.

– Znam język niemiecki – wspomina pan K. – na tyle, że mogłem dogadywać się z Karlem oraz przyjeżdżającymi z nim Niemcami. Ale to jest inna rozmowa. Gdy brakuje słowa można pomóc sobie chociażby gestem. Przez telefon, z krańcowo zdenerwowaną Marlies, kiedy trzeba było wyjaśnić szereg szczegółów, po prostu nie mogłem się porozumieć. Wreszcie ona, z tamtej strony, znalazła jakiegoś Polaka, który służył nam za tłumacza.

Przekazała mi, co powiedział Norbert, ja z kolei odpowiedziałem, że raczej nie jest możliwe, żeby Kale przedłużył pobyt w Polsce. Dopytywała się też o tę, widzianą niby przez Norberta, blondynkę w samochodzie Ruschina.

Marlies – mówi pan K. – mogła być zazdrosna. Kilka miesięcy wcześniej Karl poderwał pewną dziewczynę w Poznaniu. Nie wdając się w szczegóły, ta przygoda skończyła się dla Ruschina pewnymi kłopotami. Wiedziała o tym i Marlies, bo ta sprawa wywołała między nimi poważny konflikt, rozstanie itd. Była więc na wszelkie damskie kontakty

Kalego wyjątkowo uczulona. I w tym sensie Norbert, jeżeli chciał odwrócić jej uwagę, wprowadzić zamieszanie w poszukiwania Ruschina, dobrze ją wyczuł. Jednak oni, zarówno Marlies jak i Norbert nie wiedzieli, że tamta przygoda i związane z nią kłopoty spowodowały, że Kale stał się niezwykle ostrożny i unikać zaczął w czasie pobytu w Polsce wszelkich kontaktów z kobietami. A blondynek bał się szczególnie.

Tak więc – kontynuuje pan K. – od początku nie wierzyłem w żadne zaplanowane przedłużenie pobytu Ruschina w Polsce. Bałem się raczej tego, że miał wypadek i został na przykład ranny. Więc tym tropem rozpocząłem poszukiwania.

Byłem w milicji drogowej w Poznaniu, dzwoniłem na granicę oraz do komendy milicji w Gorzowie. Tam dlatego, ponieważ część trasy E-8, między Poznaniem a granicą, przebiega przez teren tego województwa. Ale nikt nic nie potrafił mi powiedzieć. Zbywano mnie wręcz tłumacząc, że jak cudzoziemiec zawieruszy się w Polsce na dzień lub dwa, jest to zwykle rozrywkowa eskapada.

Rozpoczęły się poszukiwania

Śmierć Ruschina stwierdzono kilka minut przed godziną czternastą w niedzielę. Ponieważ przyjęto, że zgon miał naturalną przyczynę, sporządzono odpowiedni protokół, ciało odwieziono do kostnicy, samochód na parking i to było wszystko, co tego dnia zrobiono. Następnego – w poniedziałek rano, odpowiednimi kanałami popłynęła informacja o zgonie cudzoziemca w Polsce. Ta informacja dotarła po jakimś czasie za granicę, ale krótko później dogoniona została przez inną, prostującą przyczynę śmierci. Musiało to wywołać pewne zdziwienie, bo też biorąc rzecz na logikę, trudno

sobie wyobrazić pomylenie denata-zawałowca z denatem z dziurą w głowie. Okazuje się jednak, że i takie przypadki się zdarzają.

Atmosfera stawała się poza tym coraz bardziej gorąca, o Polsce mówiono więcej niż poprzednio. Zaczynał się okres gorącego Sierpnia. Wokół śmierci Ruschina zaczęła narastać fama szczególnej tajemniczości, któej rozładowanie i wyjaśnienie kosztowało później wiele wysiłku i starań.

– Od poniedziałku, 28 lipca 1980 roku – mówi ppłk K. z Komendy Głównej MO – a więc od momentu, gdy okazało się, że Ruschin został zastrzelony, zaczęliśmy odtwarzać jego pobyt w Polsce. Dosyć szybko ustaliliśmy, że bywał częstym gościem w naszym kraju, że jeździł do Poznania i że zatrzymywał się tam w „Inter-Motelu".

W tym samym czasie, gdy milicja szła tropem pobytu Karla Heinza Ruschina w Polsce, pan K. próbował zrozumieć, co się z Ruschinem stało. I można powiedzieć, że drogi milicji i pana K. jakoś się przecinały, ale ponieważ nie do wszystkich ogniw organów ścigania informacja o śmierci Ruschina dotarła, więc zbywano pana K.

Nawet trudno się temu dziwić. Tak już jest, że niemal wszystkie (z wyjątkiem ułamka procentu) doniesienia o zaginięciu, złożone niezwłocznie po zniknięciu jakiejś osoby, okazują się przedwczesne. Znikające osoby odnajdują się same w krótkim czasie. Dlatego też jednostki milicji niezbyt chętnie przyjmują doniesienia, gdy od zaginięcia człowieka minęło kilka godzin. A w wyjątkowych już przypadkach – i z reguły wtedy, gdy chodzi o dzieci – uruchamia się poszukiwania na szerszą skalę.

Jednak w przypadku sprawy Ruschina poszukiwania milicji oraz pana K. dosyć szybko się zbiegły.

– Przyjechałem pod „Inter-Motel", było to chyba we wtorek, czyli 29 lipca 1980 roku – wspomina pan K. – Widzę, a

tu zajeżdża wołga z taką charakterystyczną antenką. Faceci wysiadają z niej ubrani po cywilnemu i wchodzą do „Inter-Motelu". Jeszcze się trochę pokręciłem dookoła i też wszedłem do środka. A tam jeden taki znajomy kiwa na mnie i mówi, że milicja interesuje się Ruschinem i Polakami, z którymi miał kontakt, więc może lepiej będzie, mówi ten znajomy, żebym raczej znikał. No, ale mnie przecież o to w końcu chodziło, żeby ktoś Ruschinem się zainteresował, więc walę do tych cywilów i pytam czy oni go szukają. Oni zaś pytają, co mnie do tego. Opowiadam im, że ja również szukam. Tak jeszcze przez chwilę rozmawialiśmy, aż wreszcie jeden z nich powiedział mi, że Ruschin nie żyje.

– Wypadek? – zapytałem.

– Nie żyje – jeszcze raz mi powiedział, ale przyczyny śmierci, albo nie chciał, albo nie potrafił określić.

Była to dla mnie informacja wstrząsająca. Początkowo przypuszczałem, że Kale zginął w wypadku drogowym. O tym że został zastrzelony dowiedziałem się nieco później. Zdaje się już w komendzie milicji.

Oczywiście opowiedziałem natychmiast o tych papierosach, o mojej z Ruschinem znajomości, o volkswagenie, który stał u mnie i w ogóle wszystko. Zresztą, na dobrą sprawę, nie miałem niczego do ukrywania. Sprawdzali jeszcze moje alibi na noc z soboty na niedzielę, a więc na czas śmierci Kalego, a później pojechaliśmy do Gorzowa i Słubic na identyfikację zwłok.

Steyer-8

Pocisk, który spowodował śmierć Ruschina przeszedł przez jego głowę, uszkodził górną część oparcia tylnego siedzenia w samochodzie, odbił się, uderzył w tapicerkę prawych drzwi i ostatecznie utkwił w mechanizmie blokującym

przednie siedzenie pasażera. Pocisk ten odnaleziono i posłano do badań.

Mimo że miał on pęknięty pancerz i w ogóle był zniekształcony, spróbowano przypasować go do znalezionej łuski. Ta łuska również nie była w najlepszym stanie, ponieważ leżała na szosie i przejechało po niej co najmniej kilka samochodów. Badania przeprowadzono w Zakładzie Kryminalistyki KG MO. Ekspertyzę wykonano bardzo drobiazgowo. Ustalono bez żadnych wątpliwości, że pocisk i łuska stanowiły kiedyś jedną całość. Ale tu zaczęła się kolejna tajemnica. Badany pocisk okazał się „Steyerem-8", a więc była to amunicja produkcji austriackiej, ale tak rzadko występująca, że nawet w zbiorach Zakładu Kryminalistyki nie było podobnego naboju. Nietypowość polega na kalibrze: 8 mm, tego od dawna nikt nie używa.

Swego czasu, bodaj jeszcze w okresie I wojny światowej, pistolety „Nambu" o takim kalibrze produkowali Japończycy. Rewolwery „Lebel" - też 8 mm, robili w tym samym mniej więcej czasie Francuzi. Za Franciszka Józefa firma Steyer produkowała kilka rodzajów broni o takim kalibrze, a w tym Steyer Armeepistole mod. 7, GR 696 Repeturpistole M. 7. oraz Roth Steyer model 1907.

Po bardzo drobiazgowych dalszych badaniach ustalono, że właśnie z pistoletu Roth Steyer model 1907 wystrzelono badany nabój.

Pistolet ten to dosyć dziwna broń. Wielkości TT, ale ładowany nie przez kolbę, tylko za pomocą „łódki", jak niektóre karabiny.

Pewien kolekcjoner militariów, w tym łusek, nabojów i podobnego żalastwa, które za pomocą aparatu do wykrywania metalu zbiera po lasach i miejscach bitew, twierdzi że niewielkich ilości pistoletów Roth Steyer używała armia niemiecka w czasie II wojny światowej. Była to jednak broń

już w tym czasie stara, pochodząca z jakichś pruskich zapewne zapasów i dlatego też znajdowała się jedynie na wyposażeniu niektórych tylko oddziałów tyłowych.

Zdaniem wspomnianego kolekcjonera, na terenie Polski nie znajduje się w żadnych zbiorach tego typu pistolet, nie widział on też u nikogo naboju „Steyer-8".

Milicja, która miała podobne informacje, doszła do wniosku że broń, z której zastrzelono Ruschina, wwieziona została do Polski.

Kolekcjoner twierdzi, że nie jest możliwe, by nabój był oryginalny, tzn. wyprodukowany w okresie, gdy wytwarzano broń o tym kalibrze, czyli gdzieś w czasie I wojny światowej. W prochu zachodzą pewne reakcje chemiczne, które zmieniają jego właściwości. Nie jest jednak wykluczone, że nabój ten wyprodukowany został współcześnie, jako replika wcześniejszych egzemplarzy. Są na Zachodzie firmy, które coś takiego na użytek zbieraczy robią.

Co zaś dotyczy broni, z której ten pocisk został wystrzelony, to mój ekspert-amator, nie podważając broń Boże ustaleń fachowców z Zakładu Kryminalistyki zauważa, że przy pewnych zabiegach można wystrzelić z broni palnej pocisk, o nieco innym od tej broni kalibrze.

Reasumując: pistoletu, z którego zastrzelono Karla Heinza Ruschina nie znaleziono, mimo że włożono w poszukiwania ogromny wysiłek. Całe kompanie milicji i wojska czesały teren w promieniu od miejsca znalezienia zwłok i wzdłuż trasy E-8. Zdawano sobie sprawę, że jest to zadanie trudniejsze od szukania igły w stogu siana. Ale robotę tę wykonano.

Czego szukał morderca?

Drobiazgowe oględziny samochodu oraz analiza wszystkich śladów pozwoliły na przypuszczalne odtwo-

rzenie momentu zabójstwa i czasu bezpośrednio po nim.

Po zatrzymaniu samochodu na poboczu drogi Ruschin nie wysiadał z auta. Otworzył jedynie drzwi lub opuścił szybę. Morderca podszedł do niego i natychmiast, z bardzo bliskiej odległości, strzelił. Kierowca nie był w stanie wykonać żadnego obronnego ruchu. Następnie zabójca obszedł auto, wsiadł od strony miejsca pasażera, wyciągnął z tylnej kieszeni spodni zabitego portfel, przejrzał go i pozostawił rozłożony na prawym przednim siedzeniu. Zgasił - jeżeli Ruschin nie uczynił tego wcześniej - silnik, wyjął ze stacyjki kluczyki, by jednym z nich otworzyć następnie bagażnik. Przeszukał go, wrócił do auta, włożył kluczyk do stacyjki. Wyciągnął prawy tylny głośnik radiowy z obudowy i zostawił go na tylnym siedzeniu. Czegoś za tym głośnikiem szukał. Była tam zamaskowana skrytka.

Znaleziony wewnątrz samochodu ręcznik i znajdujące się na nim ślady krwi wskazują, że morderca przeprowadził lekką kosmetykę zabitego.

Przeprowadzono eksperyment śledczy, na podstawie którego ustalono, że zabójca potrzebował na wykonanie tych wszystkich czynności około dwóch i pół minuty. No, ale to oczywiście teoria. Mógł się przecież aż tak nie spieszyć. Przyjęto jednak założenie o pośpiechu, opierając się na zwykłej logice. Chociaż w momencie morderstwa był środek nocy, jednak ruch, chociaż ograniczony, na szosie się odbywał. A stojący na poboczu samochód mógł kogoś zainteresować. Zdawał sobie z tego sprawę również zabójca.

Wielbiciel biżuterii

- Kale - mówi pan K. - bardzo lubił różne starocie. W czasie pobytu w Polsce dosyć często odwiedzaliśmy sklepy „Desy". Oglądał, niektórymi rzeczami się zachwycał, o in-

nych mówił, że są nic niewarte. Miał zresztą u siebie w domu trochę antyków. Czy kupował coś w Polsce? Przy mnie nic nie kupił, miałby zresztą kłopoty z wywiezieniem, a nie sądzę, żeby próbował coś przemycać. Ostatecznie zależało mu na tym papierosowym interesie i jakaś wpadka na polskiej granicy mogłaby mu na długo tę granicę zamknąć. Kiedyś – pamiętam – oglądaliśmy w Warszawie jakąś szafę. Bardzo mu się podobała, nawet zapytałem czy by sobie jej nie kupił. Odpowiedział, że nie ma co w ogóle o tym mówić, bo nikt nie pozwoli mu tego antyku przewieźć.

Ruschin lubił też biżuterię. Nieraz się dziwiłem, że zakłada tak cenne rzeczy – mówi pan K. – I w momencie śmierci miał na sobie kilka drogich precjozów.

I rzeczywiście: z protokołu oględzin zabitego wynika, że Ruschin obwieszony był biżuterią, jakby trochę ponad pewną miarę. W każdym razie dużo tego było, jeżeli brać pod uwagę, że podróżował samochodem w nocy, przekraczał granice i szmuglował papierosy. Ale widać miał taki zwyczaj.

Miał więc Ruschin na sobie złoty wisior na złotym łańcuszku z bliżej nieokreślonym kamieniem szlachetnym i trzema brylantami, każdy o wadze 0,2 karata; pierścień z brylantem czystej wody o wadze około 2 karatów; zegarek kieszonkowy oraz obrączkę – wykonane z białego złota.

Oceniono te przedmioty na sumę około 1,5 mln złotych, ale wyceniono je według cen państwowych i obowiązujących w 1980 roku.

Precjozów tych morderca nie zabrał. Ten fakt był jedną z przesłanek świadczącą, że zabójcą był człowiek, który bezpośrednio po morderstwie opuścił Polskę. Bał się – przypuszczano – ryzykować przy przekraczaniu granicy; znalezienie czegoś takiego u niego byłoby przecież dowodem stuprocentowym. Poza tym, jak nieco później zauważyła narzeczona Ruschina, ta biżuteria dobrze znana była w Berlinie Za-

chodnim i jej sprzedanie bez pozostawienia śladu byłoby niemożliwe.

*

Ruschina zabił ktoś na zimno, z pełną premedytacją. Powiedzieć można - z perfekcją zawodowca.

Zabójca przyjechał z zagranicy

- Dosyć szybko - mówi ppłk K. - wykluczyliśmy, że zabójstwa dokonał jakiś krajowy bandyta. Wszystko wskazywało, że motywem zbrodni jest zemsta. Gdyby przyjąć nawet taką, bardziej powieściową hipotezę, że zbrodnia zrobiona została na zlecenie jakiegoś mocodawcy zagranicznego, ale wykonana przez Polaka stale mieszkającego w kraju, to niezrozumiałe byłoby postępowanie mordercy, który nie ograbił swojej ofiary. A przecież osobnik ten wykonywałby taką robotę za pieniądze, dlaczego miałby pogardzić dodatkowym zarobkiem? Ale to oczywiście tylko rozważania. Stawiając hipotezy musieliśmy się kierować logiką oraz dowodami, którymi dysponowaliśmy. Nie udało się nam natrafić na taką osobę - Polaka - który znałby Ruschina, miał jakikolwiek, najmniejszy nawet motyw, by go zabić. I mógł to wykonać.

Ruschina mógł zabić tylko człowiek, którego on znał. Dla nieznajomego nie zatrzymałby się na drodze.

*

- Kale - wspomina pan K. - jak już panu mówiłem, jeździł bardzo szybko. Zawsze zapinał pasy, poza tym miał twardą i konsekwentnie przestrzeganą zasadę, że nie zatrzymywał się (nawet w dzień) na żadne wezwanie osób postronnych, ale również i kontroli drogowych. Po prostu - doda-

wał gazu i odjeżdżał. Jeżeli w tę tragiczną noc, dwadzieścia kilometrów od Świecka, zatrzymał samochód, to musiał zrobić to na wezwanie tylko osoby sobie znanej. Ale przecież w nocy, przy takiej szybkości z jaką jeździł, własnej matki stojącej przy szosie by nie poznał. To coś, co kazało mu się zatrzymać i co wzbudziło jego zaufanie musiało być duże i widoczne. Mógł to być znany Ruschinowi samochód.

Marlies W., narzeczona Ruschina: - Kale nie miał zwyczaju zatrzymywać się na żadne wezwania. Kiedyś chciała zatrzymać nas na autostradzie policja. Kale nie zareagował. Próbowali nawet nas gonić. Później przyszedł jakiś mandat do zapłacenia, czy też Ruschina przesłuchiwano.

*

- O tym zwyczaju Ruschina - mówi ppłk K. - który polegał na ignorowaniu wszystkich kontroli, mówiło wiele osób. Chcieliśmy odtworzyć drogę, jaką przebył on od Poznania do miejsca gdzie zginął, ale mieliśmy bardzo mało danych. K. mówił nam o tym, jak się pożegnali, później przekazał nam uzyskaną od Marlies W. informację, że według Norberta P. Ruschin zabrał ze sobą do samochodu dwie osoby: mężczyznę i kobietę - blondynkę. Pod takim kątem przeprowadzaliśmy ekspertyzę wnętrza samochodu i nasi fachowcy od mikrośladów doszli do wniosku, że na tylnym siedzeniu nikt nie siedział.

W tym samym czasie drogą tzw. działań operacyjnych uzyskaliśmy pierwsze informacje, że Ruschin jeżeli sam nie był zaangażowany w handel narkotyków, to przynajmniej o handlarzy się otarł. Mieliśmy takie dosyć mgliste wiadomości o haszyszu, przewalance z tymi 10 kilogramami narkotyku, o zatrzymaniu przez policję zachodnioberlińską Petera Z. itd. To było wszystko mało, ale zaczęliśmy dochodzić do wniosku, że śmierć Ruschina nastąpiła w efekcie gang-

sterskich porachunków. Co prawda, tu w kraju, nie natrafiliśmy na żaden najdrobniejszy nawet ślad, by podróże Ruschina do Polski miały jakikolwiek związek z narkotykami, ale to o niczym nie świadczyło.

Ślady prowadzą do nikąd

W pierwszej fazie śledztwa w sprawie zabójstwa Ruschina, a więc na początku sierpnia 1980 roku, wiedza o całym zdarzeniu, którą udało się zgromadzić milicji, była dosyć szeroka. Ustalono więc kim był Ruschin, dlaczego przyjeżdżał do Polski, jakie miał kontakty. Odtworzono również hipotetyczny przebieg zabójstwa. Kluczem do wszystkiego wydawały się pewne nawyki, czy raczej reguły postępowania ofiary. Wiadomo było, o czym już zresztą napisałem, że Ruschin lubił jeździć szybko i nie zatrzymywał się na żadne wezwania. Trudno więc było założyć, że tym razem zmienił swoje zwyczaje i w środku nocy stanął na wezwanie nieznanej mu osoby. Kierując się logiką i zdrowym rozsądkiem należało przyjąć, że postój był zaplanowany. Potwierdzały to zresztą zeznania pana K. Mówił on, o wyjeździe najpierw Norberta P., a w jakiś czas później Ruschina, który jeszcze przed granicą planował dogonić swojego wspólnika i razem z nim pojechać dalej.

A zatem sprawą najistotniejszą dla zrozumienia zdarzeń wydało się odtworzenie kilku ostatnich godzin życia Ruschina. Z informacji, które uzyskano od Marlies W. poprzez pana K. (odbył on kilka rozmów telefonicznych z narzeczoną Ruschina), wynikało, że doszło do spotkania Norberta P. i Ruschina kilka kilometrów przed granicą. Ale Ruschin – jak wynikało z tych informacji – zawrócił w kierunku Poznania. I tu ślad się urywał.

Poproszono pana K. by namówił Marlies W. i ewentualnie Norberta P., żeby przyjechali do Polski.

– Sprawa nie była taka prosta – mówi ppłk K. – nie mogliśmy przecież wezwać na przykład Norberta P. Na tamtym etapie nie było w tej sprawie żadnej współpracy z policją Berlina Zachodniego i jeżeli którakolwiek z interesujących nas osób pojawiłaby się w Polsce, to tylko z własnej woli. To zresztą ustalało również tok dalszego postępowania. Bo – wyprzedzając nieco wydarzenia – gdy przesłuchaliśmy Norberta P. w jego zeznaniach łatwo było znaleźć szereg nielogiczności, które sugerowały, że wie znacznie więcej i na dobrą sprawę kwalifikowały go do zatrzymania w areszcie. Ale tego, z różnych względów, nie mogliśmy zrobić.

Sprawa Ruschina zaczęła nabierać tymczasem aspektów politycznych. Stała się ona głośna w Berlinie Zachodnim i tamtejsze środki masowego przekazu wprost podawały, że zastrzelony został przez polską milicję. Podobne supozycje pojawiły się też w polskojęzycznych audycjach obcych rozgłośni. Na całej sprawie ciążył błąd lekarza, który w pierwszej fazie podał mylną przyczynę zgonu, a poza tym szczególnego, dodatkowo sensacyjnego posmaku całemu zdarzeniu nadawał fakt, że Ruschin został przed laty skazany w NRD za przerzut ludzi do Berlina Zachodniego, a po odsiedzeniu wyroku wydalony z NRD.

Panu K. udało się namówić Marlies W. do przyjazdu do Polski. Ona zaś nakłoniła Norberta P. Ten zresztą nie miał innego wyjścia. Tak był w tę sprawę zamieszany, że ewentualna odmowa złożenia zeznań przed polskimi władzami sugerowałaby, że wie, kto zastrzelił Ruschina.

Do Polski przyjechała też matka Ruschina – Ewelina T.

Płk W. z Komendy Głównej MO zapamiętał Marlies jako bardzo atrakcyjną, młodą kobietę. Nie robiła wrażenia za-

łamanej i zaraz też na początku zażądała pokazania jej samochodu, w którym zginął Ruschin.

– Do oględzin zabrała się z dużą wprawą – mówi płk W. – Widać było, że przed wyjazdem otrzymała od kogoś dosyć dokładne instrukcje, co ma obejrzeć. Szukała więc przede wszystkim śladów po serii z automatu. Zresztą na samym początku powiedziała, że śmierć Ruschina spowodowana została przez milicję. Jej zdaniem, narzeczony nie chciał się zatrzymać na wezwanie kontroli drogowej, więc zaczęto do niego strzelać. Pokazaliśmy samochód oraz ciało. Zobaczyła, że śmierć nastąpiła w wyniku jednego strzału, że wnętrze auta, poza śladami rykoszetu jednego pocisku, nie miało innych uszkodzeń, i wtedy zmieniła zdanie. – Karla – powiedziała – zastrzelił ktoś znajomy. Pewnie w związku z narkotykami. – I zaczęła się bać. Zażądała nawet od nas obstawy na cały czas pobytu w Polsce. – Skoro zabili Karla – mówiła – mogą sprzątnąć również i mnie.

Matka Ruschina też była przekonana, że syn został zastrzelony przez polską milicję. Była zaskoczona, że tak szczegółowo z nią rozmawiano, że pokazano ciało i samochód.

– Byłam przekonana – powiedziała w pewnym momencie do ppłk. K. – że wydacie mi zwłoki syna w zaplombowanej trumnie i nie pozwolicie go obejrzeć. Zaczęła też sugerować, że w morderstwo zamieszana jest Marlies W. – Ale nie miało to – mówi ppłk K. – żadnych realnych podstaw. Po prostu starsza pani nie lubiła konkubiny syna.

Zeznania narzeczonej i matki Ruschina dały milicji dosyć bogaty obraz zwyczajów, znajomości, trybu życia itp., itd. ofiary, jednak nie prowadziły do odpowiedzi na podstawowe pytanie: kto był zabójcą?

Zeznanie „goryla"

Norbert P. przyjechał do Polski namówiony przez Marlies W. 30 lipca 1980 roku, a więc w trzy dni po zabójstwie Ruschina. Zaraz na początku zauważył, że wszystko co wie powiedział już Marlies, więc w zasadzie nie ma nic do dodania. Ale jeżeli to potrzebne, jest skłonny odpowiedzieć na wszelkie pytania.

– Wiedzieliśmy już wtedy – mówi płk. W. – że urodzony w 1952 roku Norbert P. jest z pochodzenia Jugosłowianinem, że pracuje w pewnej firmie sprzedaży samochodów, ale że znany jest w Berlinie Zachodnim z kontaktów wśród handlarzy narkotyków. Mówiąc wprost: Norbert P. to gangster, który między innymi, wraz ze znanym nam tylko z imienia Paulem, zrabował w lipcu 1980 roku 10 kg haszyszu. Dlatego też postanowiliśmy sprawdzić samochód, którym przyjechał. Pies urzędu celnego, specjalnie szkolony do wykrywania narkotyków, wygryzł zaraz na początku dużą dziurę w przednim siedzeniu pasażera. Narkotyków nie było, ale pozostała silna ich woń. P. wyjaśnił nam, że samochód ten kupił od jakiegoś lekarza na dzień przed przyjazdem do Polski, więc może poprzedni właściciel woził narkotyki.

Zeznanie Norberta P. pokrywało się z tym, co wcześniej o ostatnim pobycie Ruschina w Polsce mówił pan K.

– To prawda – powiedzał Norbert P. – umówiłem się z Karlem, że granicę przekroczymy razem. I faktycznie dogonił mnie, ale rozmawialiśmy tylko chwilę, wziął ode mnie resztę pieniędzy pozostałych po zakupie papierosów i zawrócił. Zauważyłem w jego samochodzie dwie osoby, mężczyznę i kobietę, którzy rozmawiali ze sobą po polsku. Zapytałem jeszcze Ruschina, czy widział kontrolę radarową. Odpowiedział, że tak i że próbowali go zatrzymać.

– Z tą kontrolą radarową – opowiada ppłk K. – sprawa

jest dosyć tajemnicza. Norbert P. powiedział nam, że dwadzieścia kilka kilometrów przed granicą został skontrolowany przez milicję. Mówił, że zatrzymano go w związku z przekroczeniem szybkości. Nie udało się nam odszukać patrolu, który tej nocy i w tym miejscu kontrolował pojazdy. Pokazaliśmy Norbertowi P. używane przez milicję samochody. Wskazał na pojazd terenowy. Tymczasem ten rodzaj aut nie jest używany do kontroli radarowej. Norbert P. upierał się jednak, że radar widział. Opowiadając tę historię usiłował chyba zasugerować, że ta sama kontrola, która go zatrzymała, próbowała rówież zatrzymać Ruschina. Ten jednak nie zareagował na wezwanie, więc gdy wracał został ostrzelany. To się oczywiście wszystko kupy nie trzymało. Nabraliśmy wtedy przekonania, że Norbert P. był albo bezpośrednim sprawcą zabójstwa Ruschina, albo współuczestnikiem. I taką informację, popartą innymi dowodami, przekazaliśmy za granicę.

W sprawę wkracza Interpol

Wczesną jesienią 1980 roku władze polskie zwróciły się do władz amerykańskich w Berlinie Zachodnim o udzielenie tzw. pomocy prawnej. Wyszczególniono 11 czynności, które należałoby wykonać na miejscu w Berlinie Zachodnim. Odpowiedzią był przyjazd do Polski, poprzedzony oczywiście wymianą stosownych not, przedstawiciela Interpolu, attaché wojskowego ambasady USA w Bonn oraz funkcjonariusza FBI z Waszyngtonu, specjalisty od zwalczania handlu narkotykami. Trójce tej towarzyszył pracownik konsulatu amerykańskiego w Warszawie.

Skład gości świadczył, że przywiązują oni dużą wagę do nawiązania kontaktów z polską milicją. Z tym jedynie, że sprawa śmierci Ruschina interesowała ich umiar-

kowanie. Przede wszystkim chcieli rozmawiać o narkotykach.

Rozmowy otoczone zostały zrozumiałą tajemnicą. Wiadomo jedynie, że wymieniono wiele istotnych informacji. W wyniku ograniczono znacznie szmugiel narkotyków polskimi statkami z Dalekiego Wschodu do portów zachodnioeuropejskich. Policja zachodnioniemiecka i zachodnioberlińska odniosły zaś kilka sukcesów w walce z handlarzami, co zresztą pozostawało w bezpośrednim związku z informacjami uzyskanymi przez polską milicję przy okazji rozpracowywania sprawy śmierci Ruschina.

Współpraca ta trwała jeszcze kilka miesięcy. Okazało się, że informacje o związkach Norberta P. z handlarzami narkotyków w Berlinie Zachodnim potwierdziły się. Znaleziono też u niego pistolet, ale innego kalibru oraz takie same naboje, jak ten, od którego zginął Ruschin. Strona polska pragnęła, by z nabojami tymi oraz ze znalezionym pistoletem przyjechał któryś z ich zachodnioniemieckich ekspertów. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Nie udało się więc przeprowadzić dokładnych badań.

Nieco później kontakty utrzymywane poprzez konsulat amerykański ze stroną zachodnioberlińską urwały się.

*

Pan K. przypomina sobie, że tak mniej więcej jesienią 1980 roku zadzwonił do niego ktoś z konsulatu amerykańskiego i zapytał, czy nie chciałby się spotkać z przedstawicielem FBI i opowiedzieć o sprawie Ruschina.

– Odpowiedziałem, że złożyłem już zeznania w milicji i nic więcej nie mam do powiedzenia. Prawdę mówiąc, bałem się mieszać dalej w tę sprawę, a poza tym nie wiedziałem czy wolno mi prywatnie kontaktować się z przedstawicielami obcej policji. Powiedziano, że skontaktują się jeszcze ze mną, ale nikt już więcej nie dzwonił.

Pyta pan, czy wiem, co robi teraz Marlies i Norbert P.? Na dobrą sprawę nie wiem. Dwa lub trzy lata temu dowiedziałem się, że Norbert P. został aresztowany w Berlinie Zachodnim i następnie skazany na kilka lat więzienia. Ale, jak mi powiedziano, w trakcie rozprawy nie było mowy o zabójstwie Kalego tylko o handlu narkotykami. A Marlies? – Jakoś ułożyła sobie życie. Szczegółów nie znam. Zresztą chciałbym już zakończyć rozmowę o tamtej sprawie, bo nie są to wspomnienia najprzyjemniejsze. A zresztą, co ja mogę jeszcze powiedzieć? Pan chciałby wiedzieć, kto zabił Kalego. Ja też chciałbym to wiedzieć, chociażby dlatego, że przecież i ja w pewnym momencie byłem w kręgu podejrzanych. Więc gdyby sprawa została wyjaśniona i mnie byłoby lżej.

*

Zagadka śmierci Karla Heinza Ruschina, który zastrzelony został w nocy 27 lipca 1980 roku dwadzieścia kilometrów przed przejściem granicznym w Świecku, nie została rozwiązana. 31 grudnia 1980 roku śledztwo zostało umorzone z powodu niewykrycia sprawców.

Z PODRÓŻNEJ WALIZKI
ROMAN DOBRZYŃSKI

Roman Dobrzyński: – Czy mogę zacząć od walizki obitej srebrzystą blachą?

Stefan Kozicki: – Jeśli ma pan na myśli walizkę, w której przewozi się aparat filmowy – zgoda. Może relacja zdobyta tym sposobem nie będzie efektowniejsza, ale z pewnością będzie bardziej pasować do pana obecnego przydziału: reportera w redakcji międzynarodowej TV. Człowieka jeżdżącego zamiast nas, w naszym niejako imieniu po szerokim świecie. Widzącego ten świat w pryzmacie filmowej kamery.

R.D.: – ...która waży swoje. A jeszcze więcej ważą taśmy, które się wozi z Polski gdzieś tam daleko i z powrotem. Te taśmy wydają się za granicą cięższe niż w Polsce, jako że w kraju służy do ich dźwigania asystent. Młody człowiek z powodów oszczędnościowych nie puszczany na ogół za granicę. W kraju ekipa telewizyjna składa się przeważnie z sześciu osób. Jest redaktor i reżyser i asystent reżysera, operator i asystent operatora, jest dźwiękowiec i asystent dźwiękowca. Za granicą typowa ekipa kurczy się do dwu osób – redaktora i reżysera w jednej osobie oraz operatora. Ja jestem wyjątkowo oszczędny. Bywa, że wyjeżdżam sam. Sam z kamerą i magnetofonem. Bo jeszcze w dawnych czasach opanowałem sztukę posługiwania się kamerą i pozostało mi to do dziś.

S.K.: – Czy ostatnią podróż do Ameryki Łacińskiej, w

którego to kontynentu sprawach specjalizuje się pan, jeśli tak można określić, też odbył pan sam jeden?

R.D.: – Ostatnią podróż – do Peru i Boliwii – odbyłem razem ze Stanisławem Mazurkiewiczem, wytrawnym operatorem, który wszystko w życiu widział, wszystko filmował, niczemu się nie dziwi i wszystko wytrzyma.

S.K.: – Nawet szok klimatyczny, spowodowany lądowaniem na lotnisku w La Paz – stolicy Boliwii?

R.D.: – Nawet na tym słynnym lotnisku trzymał formę. Nie robiły na nim specjalnego wrażenia ani „dyżurne" butle z tlenem, ani inni gringos, do niedawna towarzysze podróży z tego samego samolotu mdlejący na naszych oczach.

S.K.: – Amerykanie znaczy mdleli, a nasi ułani, chłopcy malowani z ulicy Woronicza – jak na wiosennym spacerku w Alejach?

R.D.: – Czuliśmy się jak muchy w smole. Nagła zmiana ciśnienia (La Paz leży na wysokości czterech tysięcy metrów nad powierzchnią morza), rozrzedzone powietrze – to nie należało do przyjemności. A jeśli miało się jeszcze w pamięci dobre rady przyjaciół z Limy (wędrowaliśmy do Boliwii via Peru), żeby przez pierwsze dwa-trzy dni nic nie robić tylko się aklimatyzować, bez żadnych, broń Boże, flirtów, ponieważ w nowej sytuacji klimatycznej nie tylko że nie sprostamy zadaniu, ale jeszcze popsujemy dobrą opinię, jaką cieszą się polscy mężczyźni za granicą, to...

S.K.: – Znając życie „na delegacji" podejrzewam, że mimo przestróg od razu dzielnie rzuciliście się do pracy. Nie przez wrodzone bohaterstwo. Przez skąpe diety, których nie można było marnować bezproduktywnie.

R.D.: – Niezupełnie tak było. Najpierw napatoczyła się niedziela. W sam raz do aklimatyzacji. Ale już we wtorek z samego rana udało się nam zrobić kawałek dobrej reporterskiej roboty. Na śródmiejskiej ulicy, niedaleko hotelu. Na

wprost banku, z którego wyszedłem po wymianie stu dolarów na więcej niż gruby plik tysiącpesetowych banknotów. Kiedy kiwnąłem na gazeciarza, Mazurkiewicz uruchomił kamerę. Biorąc do rąk egzemplarz porannej stołecznej gazety, zacząłem pod tzw. czujnym okiem kamery, brać z pliku i odliczać powoli i głośno należność: „Jeden tysiąc, dwa tysiące, trzy tysiące, cztery tysiące, pięć tysięcy peso... Zgadza się?". Gazeciarza już nie było. Zamiast niego stał koło mnie silny brunet lat około trzydziestu, który wyłonił się z grupy gapiów, gromadzących się zawsze tam, gdzie coś kręcą. Zasadnicza mina bruneta pozwalała odgadnąć, mimo braku munduru, policyjną jego profesję. A on już pytał zasadniczym tonem ile zapłaciłem za gazetę. Nieco zdumiony odparłem, że tyle, ile płacę zawsze: pięć tysięcy. „Ale ta akurat gazeta kosztuje tylko trzy tysiące!" – wykrzyknął triumfalnie. Za chwilę wiedziałem już, że podając świadomie fałszywą informację o Boliwii, w celu przekazania jej w świat, wypaczyłem tym samym świetlany obraz tego kraju, co jest czynem karalnym. Najpierw jednak nakręcona taśma musi zostać zniszczona, a sprzęt ulegnie konfiskacie. „Idziemy na komisariat!". Tak się złożyło, że poprzedniego dnia byłem z wizytą u ministra propagandy, podczas rozmowy z którym chciałem m.in. przedstawić pewne tematy szczególnie mnie interesujące. Minister ani słuchać nie chciał. Rozłożył teatralnie ręce: „Tu jest wolny kraj, może pan wszędzie chodzić i filmować co tylko zechce". Z tego więc względu, a także z paru innych, wśród których niebłahą rolę pełnił mój trudny charakter, ani zamierzałem zastosować się do polecenia agenta, i choć ten nadal wskazywał ręką jakiś kierunek, poszedłem zdecydowanym krokiem w kierunku wprost przeciwnym. Do hotelu. Ja do „kręconych" drzwi – on za mną. Ja do holu – on do holu. Ja do windy – on do windy. Ja do mojego pokoju – on za mną. Usiedliśmy

naprzeciw. „Czterysta dolarów" - powiedział. Roześmiałem się. Zrelacjonowałem rozmowę z ministrem. Oświadczyłem, że w wypadku zatrzymania sprzętu, wiem gdzie się odwołać i wiem, że będzie to miało pozytywny skutek. Na co usłyszałem, że - tak czy owak - czas jakiś będę pozostawał bez sprzętu, czyli nie będę mógł pracować i poniosę z tego względu stratę (facet rozumował po amerykańsku, nie po polsku). I chociaż wreszcie otrzymam sprzęt z powrotem, wcale nie jest pewne, że to będzie ten sam sprzęt. Ale ostatecznie, zważywszy moją zażyłość z ministrem, może się zgodzić na trzysta. „Dwadzieścia" - powiedziałem. Zerwał się oburzony. Przytrzymałem go za rękaw.

S.K.: - Stanęło na pięćdziesięciu?

R.D.: - Zgadł pan.

S.K.: - Ja nie zgaduję. Ja tylko znam możliwości finansowe „naszych specjalnych wysłanników". Ale wróćmy do sceny, która zapoczątkowała całą tę historię. Pragnął pan uwiecznić ją na taśmie filmowej jak sądzę po to, aby zobrazować głębię inflacji?

R.D.: - Galopującej inflacji! W momencie mojego tam przyjazdu za jednego dolara płacono około 20 tysięcy peso. Po miesiącu pobytu dolar był już wart 50 tysięcy peso. A kiedy parę dni temu rozmawiałem telefonicznie z kimś w La Paz, dowiedziałem się, że kurs dolara wzrósł już do 180 tysięcy peso. Tamtejsze drukarnie nie nadążają już zapewne z drukiem pieniędzy. Zresztą co ja mówię. Nie nadążały już w trakcie mojego tam pobytu i rząd zmuszony był zawrzeć umowę z pewną drukarnią w RFN.

S.K.: - Przyczyny inflacji?

R.D.: - Przede wszystkim kolosalne zadłużenie za granicą. Licząc na głowę mieszkańca - największe w Ameryce Łacińskiej.

S.K.: - A przecież Boliwia, choć prawie nie ma prze-

mysłu przetwórczego, jest bogata w różne cenne kopaliny. Mają tam – i eksploatują! – całą tablicę Mendelejewa: antymon, wolfram, ołów, cynk, miedź, ropę naftową, srebro, złoto. W wydobyciu rud cyny drugie miejsce na świecie...

R.D.: – W dodatku kopalnie cyny są upaństwowione, co umożliwia, zdawałoby się, prowadzenie choć w części gospodarki planowej. Tak dobrze jednak nie jest. Długotrwałe rządy różnych hunt wojskowych, dyktatorów, wydzierających sobie wzajem władzę (co dwa-trzy lata zamach stanu) – zrujnowały gospodarkę tego kraju, powodując skumulowanie skutków tego długotrwałego procesu akurat w krótkim demokratyczno-postępowym ostatnim okresie. Okresie, w którym nawet komuniści znaleźli się w rządzie, otrzymując parę tek ministerialnych. I nie kiedy indziej, a właśnie wtedy – rozkręciła się na dobre spirala inflacyjna. Spowodował ją mechanizm wprost wzorowy, jakby żywcem wzięty z podręcznika ekonomii. Ponieważ ze zrozumiałych względów boliwijskie związki zawodowe stały się wówczas tak znaczące i silne, jak nigdy dotąd – zaczęło się wysuwanie żądań coraz to nowych podwyżek płac. Rząd – ze względu na swój demokratyczny charakter – żądań tych ignorować nie mógł. Tym bardziej, że były z reguły poparte strajkami. Płace szły więc w górę. Szły też w górę ceny. Szybciej, ponieważ ciągłe strajki dramatycznie obniżały produkcję dóbr i podwyżki płac nie miały pokrycia. Ceny szły w górę coraz szybciej, co powodowało coraz liczniejsze strajki, coraz większe podwyżki i coraz nowe żądania. Również polityczne.

S.K.: – Coś mi to przypomina.

R.D.: – Doszło do tego, że centrala związkowa, niezadowolona z działalności Zgromadzenia Narodowego, czyli parlamentu, powołała do życia konkurencyjne Zgromadzenie Narodowe. Zaczęły się rysować zalążki dwuwładzy: niech

rządowi zdaje się, że rządzi, ale naprawdę my będziemy decydować o wszystkim!

S.K.: – Znów powtórzę, że mi to coś przypomina. Ale tam chyba nie ma dużych szans na uzdrowienie gospodarki. Powstało tam w tym względzie chyba coś w rodzaju pata.

R.D.: – Jest w tej sytuacji jeden zwycięzca: czarny rynek. A właściwie drugi obieg gospodarczy.

S.K.: – Też coś mi to przypomina.

R.D.: – Chyba za dużo u pana tych skojarzeń. Bo tu konkrety są całkiem egzotyczne: Boliwia sprzedaje cynę – to swoje największe bogactwo narodowe – za 800 mln dolarów rocznie. Zaś roczny eksport liści koka przynosi rocznie około miliarda dolarów. Eksport w większości nielegalny. Podobnie zresztą jak uprawa liści koka, choć każdy dobrze wie, że nie ma na wsi Indianina, który by w trakcie pracy na polu nie robił sobie przerwy na pożucie cudownych liści przywracających nadwątlone siły. W przemycie liści koka za granicę zaangażowane są całe wyspecjalizowane gangi. Przy czym przemyt odbywa się w dwu kierunkach. W rezultacie chodniki ulic w La Paz przedstawiają dla przybysza z Europy dziwny widok. Na chustach lub gazetach Indianki wystawiają tam na sprzedaż wszystko, czego dusza zapragnąć może. Od perfum firm kosmetycznych, poprzez kasety telewizyjne, po sprzęt Hi-Fi najwyższej klasy. Wszystko przemyt. Wszystko taniej niż w sklepach. Wszystko pod okiem policji.

S.K.: – Te kasety uświadomiły mi istnienie telewizji boliwijskiej. Jaka ona jest?

R.D.: – Jest hiszpańska, tzn. nadawana w języku hiszpańskim, co wywiera niszczący wpływ zarówno na języki indiańskie – keczua i ajmarów – jak na indiańską kulturę. A to nie jest bez znaczenia w kraju, którego ludność jest w siedemdziesięciu procentach indiańska.

S.K.: – Państwowa ta telewizja? Prywatna?

R.D.: – Prywatna. W ogóle nie ma dużych stacji nadawczych tylko małe, lokalne. Mały budynek, małe studio. Podstawą programu kaseta. Nawet amatorska. Na niej film przeważnie amerykański. Bez żadnych „programów studyjnych", też telewizyjnej publicystyki.

S.K.: – Co wobec tego z politykami? Z przedstawicielami władzy? Z tymi ludźmi, którzy pragną po swojemu indoktrynować społeczeństwo, a telewizja najbardziej się do tego nadaje. Z wszystkimi tymi, którzy tak lubią pokazywać się w szklanym okienku z okazji tak zwanych historycznych momentów?

R.D.: – Tam narzędziem polityki wciąż jeszcze jest wiec. Sprzyja temu i klimat i temperament mieszkańców. Wystarczy, że stanie ktoś na środku skweru na skrzynce i zacznie przemawiać gestykulując żywo – zaraz wokół zgromadzi się tłumek. Oceniający nie tylko treść przemówienia, ale również, a może nawet przede wszystkim, jego formę. Znajomość retoryki. Okrągłość gestu. Tam się nie przemawia ustami, ale rękami, twarzą, całym ciałem. Tam polityk powinien mieć aktorskie zdolności. Niezbędne w systemie zwanym demokracją balkonową. Do historii anegdoty politycznej przeszło powiedzenie jednego z tamtejszych polityków opozycyjnych: „Dajcie mi balkon, a zwyciężę!"

S.K.: – A więc w kraju indiańskim przyjął się hiszpański model uprawiania polityki i to jeszcze taki bardziej muzealny, z dziewiętnastego wieku.

R.D.: – Mimo to Boliwia jest obok Paragwaju najbardziej indiańskim krajem w Ameryce Południowej. Czułem się tam bez przerwy jak gringo.

S.K.: – A tamtejsi biali?

R.D.: – Kreole czyli potomkowie hiszpańskich kolonizatorów, ludzie najbardziej aktywni w życiu publicznym, wyglądają i zachowują się tak, że każdy pozna ich miejscową prowe-

niencję. Zresztą wśród Kreolów trudno o czystą krew.

S.K.: – Widział pan Indian z pierwotnych, prymitywnych plemion?

R.D.: – Widziałem. Ale nie było nic z przygody w moim spotkaniu z tymi, którzy dla odróżnienia od Indian żyjących z przemysłu i rolnictwa nazywani są Indianami leśnymi. Indianie leśni, widziani przeze mnie w dżunglach Amazonii (boliwijska prowincja Oriente obejmuje wschodnią jej część) okupują prawo zachowania tradycyjnego sposobu życia wyrażaniem zgody na sprzedawanie cywilizowanemu światu swojej „dzikiej" odrębności. Na wystawianie jej na pokaz zakontraktowany i wyreżyserowany przez agentów amerykańskich przedsiębiorstw turystycznych. Towarzyszyłem raz czy dwa takiej turystycznej wycieczce do „dzikich". Specjalny statek przewiózł całe towarzystwo po szerokiej, mętnej rzece aż do miejsca, gdzie zbudowana była specjalna przystań-pomost, po którym turyści ruszyli ławą ku „dzikusom" oczekującym ich w z góry wyreżyserowanych pozach, z papuzimi piórami we włosach i łukami oraz dmuchawkami w rękach. Patrząc na Amerykanów z nieodłącznymi kamerami przy oku, pomyślałem przez moment, że te wszystkie kamery wydawać się muszą „dzikusom" wyróżniającym szczegółem anatomicznym białej rasy. A potem nastąpiła wyprzedaż specjalnie sporządzonych „na okoliczność" pamiątkowych wyrobów z liści palmowych, muszli kolorowych, ziaren itp. Tylko zmumifikowane i tajemniczą sztuką pomniejszone głowy ludzkie nie były na sprzedaż. Ale nie dlatego, iżby stanowiły rytualną, bezcenną wartość dla tej skomercjalizowanej, rzuconej na przemiał turystyce grupki Indian Jivaros, jeszcze do niedawna mających markę plemienia dumnych wojowników. Małe, jakby wędzone główki, uwiązane za długie włosy przy jednej z chat, nie były na sprzedaż dlatego, że zostały dostarczone do wioski przez Agencję Turystyczną

i stanowiły jej własność. Zaprzyjaźniłem się później z pewnym agentem tego przedsiębiorstwa. Mogłem się wówczas przekonać, że zdeprawowani turystycznie wojownicy Jivaros nie malują już swoich ciał naturalnymi farbami – wyciągami z roślin, ponieważ znacznie łatwiej jest czynić te malunki zwykłą szminką z drogerii oraz szkolnymi pastelami. Dowiedziałem się też, że miejsca, w którym dane mi było oglądać wieś Jivarów, nigdy nie należało do ich tradycyjnego terytorium. Że zostali oni na nie po prostu przesiedleni.

S.K.: – Przesiedlenie to zostało zapewne spowodowane nie tylko turystycznymi potrzebami Amerykanów, ale i czymś innym, ważniejszym...

R.D.: – Leśnych Indian przesiedla się na ogół w związku z podejmowanymi w Amazonii na coraz szerszą skalę różnorodnymi przedsięwzięciami gospodarczymi. Cywilizacja umaszynowiona nie wkracza do Amazonii tak, jak to sobie często wyobrażamy – wąskimi nitkami wyrębów, pozwalającymi budować drogi wiodące do zagospodarowanego miejsca. Jeśli już przedsiębiorcy decydują się na sprowadzenie w tak daleki rejon buldożerów, koparek i innych specjalistycznych maszyn (co jest rzeczą niesłychanie kosztowną) – starają się wykorzystać te maszyny do końca. Idą więc maszyny w dziewiczą puszczę tzw. szerokim frontem robót. Dosłownie wygalając wszystko po drodze (wiadomo, że banan, tzw. żelazne drzewo i chininowiec, to surowiec bardzo cenny; resztę się niszczy, pali po prostu). W Brazylii zostało „wygolone" już trzydzieści procent amazońskiej puszczy. Dane z Boliwii, nawet szacunkowe, są nieznane. Ale to, co sam tam widziałem, nie nastraja optymistycznie.

S.K.: – Siła żywotna amazońskiej przyrody jest przysłowiowa. Mówi się, nie bez racji, że to co człowiek w dzień puszczy wyrwie – puszcza w nocy odbierze na powrót.

R.D.: – Powiedzonko to ukuto w erze siekiery. Dziś jest

już w dużej mierze zdezaktualizowane. Bo rzecz ma się tak, że puszcza amazońska rośnie na dość płytkiej warstwie gleby. Po odsłonięciu jej na dużej przestrzeni, po poddaniu działaniu tropikalnego słońca, silnych wiatrów i ulewnych opadów w porze deszczowej, niespodziewanie szybko ulega erozji. Zostaje wywiana, wypłukana. Tam, gdzie niedawno jeszcze królowała wszechwładna, zdawałoby się zieleń – nagle pojawia się piaszczysta albo litokamienna pustynia. Ciągnąca się dziesiątkami, setkami kilometrów. I na tych obszarach najbardziej nawet żywotna zieleń nie pojawi się już – i to przez długie lata – bo nie ma na czym się pojawić. Widziałem takie smętne pejzaże na własne oczy.

S.K.: – I nie mógł się pan nawet uspokajać wewnętrznie starym, polskim sposobem, że moja chata skraja.

R.D.: – To prawda. Wycinanie puszcz Amazonii uderza nie tylko w „leśnych Indian", ale i w Polaków mieszkających obok resztek puszczy Kampinoskiej. Uderza w całą – bez przesady – ludzkość. Amazonia to największa na świecie fabryka tlenu, nieodzownego składnika ziemskiej atmosfery. Nikt nie jest w stanie przewidzieć, jakie zmiany nastąpią w ziemskiej atmosferze po wycięciu lasów Amazonii (stanowiących jedną czwartą zasobów leśnych świata). Są jednak biologowie stwierdzający, że może się to zakończyć katastrofą. Nie potrzeba będzie bomby neutronowej.

S.K.: – Utknęliśmy w tym wilgotnym rejonie Oriente tak, jakby jego klimat typowy był dla Boliwii. Tymczasem, jak wiem (z encyklopedii, z encyklopedii!) – choć nawet w niektórych górzystych prowincjach na wysokości 3,5 tysiąca metrów rosną tropikalne lasy, zwane brwiami gór, to jednak większość boliwijskiego płaskowyżu charakteryzuje się niewielkimi opadami i skąpą roślinnością. Kiedyś widziałem piękny plakat, zachęcający turystów. Przedstawiał on stok jakiejś andyjskiej góry, cały pokryty małymi poletkami, wyg-

lądającymi jak zielone stopnie wśród skał. I dopiero teraz, podczas rozmowy z panem, przyszło mi na myśl, że Indianie Keczua, uprawiający takie malownicze poletka z plakatów, nieraz na wysokości 4 tysięcy metrów, muszą bardzo ciężko pracować.

R.D.: – Dzięki temu, że udało mi się niegdyś przyłączyć do grupy młodych etnografów, prowadzących badania obyczajów, panujących na wsi indiańskiej, miałem możność przyjrzeć się z bliska codziennemu bytowaniu mieszkańców. Co pewien czas chłopak od syndyka (coś w rodzaju wójta) biegał z dzwonkiem po całej wiosce wzywając na faenę, wspólną pracą na wspólnym polu. Bo tylko część gromadzkiej własności, podzielona jest na działki pozostające w indywidualnym użytkowaniu; reszta uprawiana jest wspólnie, a plon dzielony sprawiedliwie między członków komuny. System rodem z czasów przedkolonialnych Zapewne tak samo stary, jak zwyczaj nie zaczynania pracy przy faenie wcześniej, niż ludzie nie wygadają się do woli.

S.K.: – Coś mi to przypomina...

R.D.: – Będzie bardziej przypominało, gdy dodam, że pewnego razu, pragnąc do syta napatrzyć się pracy podczas feany, pojawiwszy się na wspólnym polu w czasie dokładnie wyznaczonym, musiałem przeczekać zarówno wcześniejsze dyskusje, jak i wcześniejsze picie. Organizator feany bowiem, czyli syndyk, ma obowiązek nie tylko ukarania mandatem tych członków komuny, którzy nie przychodzą na faenę, ale także ma obowiązek postawienia wszystkim pozostałym po dobrej miarce pisco – wódki z kukurydzy. Wódkę piją praktycznie tylko mężczyźni. Dzięki czemu wdowy i panny z dziećmi (tylko te kategorie kobiet mają prawo uczestniczenia w komunie) zdobywają możność rozpoczęcia pracy już wtedy, kiedy mężczyźni jeszcze popijają sobie. Spore wrażenie zrobiła na mnie, najstarsza, czarno

ubrana wdowa, odganiająca podczas feany cielną jałówkę i czarami złe duchy od sadzeniaków.

S.K.: – Czarne suknie wdów nie są specjalnie oryginalnym strojem ludowym.

R.D.: – Tak samo ubierają się wdowy w Hiszpanii. Kolorowe, sute spódnice panien z dziećmi przypominają krojem i kolorystyką stroje dziewcząt z Estremadury. Indianie przejęli bardzo wiele strojów i obyczajów hiszpańskich. I tak się to przegryzło z pozostałościami z czasów Inków i Azteków, że czasem i wprawny etnograf nie rozróżni co jest co. Oczywiście wiadomo, że wojłokowe kapelusze męskie osłaniające uszy, spadające kloszowo ku barkom i ostro u góry zakończone – są prymitywnym naśladownictwem hełmów hiszpańskiej piechoty z czasów Pizarra. Ale, być może, żaden etnograf nie wie, jak wytłumaczyć pochodzenie czarnego melonika, ozdabiającego głowy elegantek z rejonu Potasi. Ja sam ułożyłem teorię, że w zamierzchłej przeszłości jakiś angielski kupiec sprowadził w okolice Andów większy transport ulubionego nakrycia głów dżentelmenów znad Tamizy i, nie mogąc zainteresować tym towarem mężczyzn, przerzucił się na kobiety, znacznie podatniejsze na zew postępu.

S.K.: – Mówiliśmy już o piciu podczas faeny. Aby nie być posądzonym o chęć złamania naszej wzorowej ustawy antyalkoholowej, zmuszony jestem zapytać dla równowagi o zakąskę. Czym ci Indianie zakąszają?

R.D.: – Z tym bywa bardzo różnie, zależnie od okoliczności. Za pieczywo służy prażona kukurydza, dobra do wszystkiego. Od wielkiego święta występuje jako pieczyste zwierzątko, które przyjęło się i w Polsce, ale u nas spełnia ono zadanie raczej towarzyskie: świnka morska. Raz jadłem taką świnkę, podczas kiedy inne biegały mi między nogami, jako że dom był zamożny i dbano w nim o warunki mieszkaniowe zwierząt hodowlanych. Ciekawa jest nazwa potrawy

złożonej z czarnego ryżu i fasoli. Określa się ją mianem „chrześcijanie i Maurowie". Indianie nigdy Maurów nie widzieli, a jeśli wiedzieli coś o nich, to tylko za pośrednictwem Hiszpanów.

S.K.: – Wobec tego pytanie tradycyjne: spotkał pan jakichś rodaków?

R.D.: – Ponieważ w Boliwii mieszka wyjątkowo mało Polaków (szacunkowa ocena oscyluje wokół dwu tysięcy) poczytuję sobie za szczęśliwy traf, że jednak udało mi się poznać bliżej trzech chłopaków z Milanówka. Otóż chłopaki te, zorientowawszy się zaraz po przyjeździe do Boliwii, że tu trzeba ciężko pracować – tak długo szukali jakiegoś kompromisu między pracą a przygodą i przyjemnością, aż znaleźli na straszliwym pustkowiu miejsce, gdzie trafia się złoto. Wystąpili więc o koncesję. I założyli niewielką kopalnię złota: typu: dwie szopy, koparka, buldożer, pompy „wysysające" urobek z dna rzeki. Sami właściciele kopalni pracują pod wodą w kombinezonach nurków.

S.K.: – Widział pan tę ich kopalnię? Possał pan w niej trochę za złotem?

R.D.: – Nie widziałem, nie kopałem, nie ssałem. Trwała akurat pora deszczowa, kopalnia była odcięta od świata.

S.K.: – Szkoda. A ja w ogóle, gdybym był prezesem Radiokomitetu nakazałbym, żeby moi reporterzy wędrujący po egzotykach obowiązkowo przywozili do firmy choć trochę własnoręcznie ukopanego złota. Nie sądzi pan, że to dobry pomysł? Nasza TV, na przykład, przeżywa teraz tak wielkie trudności finansowe... Co tam zresztą firma! Niechby każdy coś dla siebie ukopał, przywiózł. Znam takiego jednego, co przywiózł sobie z Amazonii volkswagena-ropniaka. Znam drugiego, co przywiózł sobie z Ghany żonę – Polkę. Takiego, co by złoto przywiózł nie znam. Ciekawe. To znaczy owszem, redaktor Szwarc-Bronikowski ma parę bryłek, które,

w dobrym humorze będąc, pokazuje gościom. Ale jak raz zaproponowałem, że wezmę toto i sprawdzę w „Jubilerze" na placu Konstytucji ilość karatów – odmówił. Więc nie chcę nic imputować, ale jednak...

R.D.: – Ale jednak, kończąc żarty, powiedzieć muszę, że Polacy mieszkający w Boliwii nie zaliczają się do bogatych. Łącznie z polskimi zakonnikami i księżmi pełniącymi służbę duszpasterską wśród Indian. W każdym razie ci, których poznałem, wiodą życie więcej niż skromne. Z jednym wyjątkiem. Samochody mają bardzo dobre. Bez dobrego samochodu, przy tamtych odległościach, niewiele się zdziała.

S.K.: – Jakich zakonników pan poznał? Z jakiego zakonu? Gdzie?

R.D.: – Poznałem tam Ojców Franciszkanów i Siostry Sercanki. Nie tylko poznałem. Korzystałem też z ich gościny. Sercanki mają i klasztor, i sierociniec. Mówiły mi, że kiedy się tam osiedlały, nie wiedziały jaki system przyjęć najlepiej będzie zastosować. Wyboru dokonało tzw. samo życie. Przyjmowanie wychowanków odbywa się najczęściej tak, że któregoś ranka siostry znajdują u furty kolejne płaczące zawiniątko. Choć w użyciu są i inne sposoby, ten wydaje się najmniej kłopotliwy i nie wymagający biurokracji. Sercankom zawdzięczam gościnę, Franciszkanom z Cochabamba – poznanie wielu nie znanych mi dotąd zwyczajów panujących wśród Indian. Na przykład to trzymanie nieboszczyków w domu! Zwyczaj będący pozostałością po starym kulcie zmarłych przodków. Dzisiejsi Indianie nie wyciągają wprawdzie zmumifikowanego pradziadka, aby posadzić go przy świątecznym stole, ale jednak...

S.K.: – Przepraszam, że przerywam, ale czegoś tu nie rozumiem. Jak ci Indianie mogą trzymać zmarłych członków rodziny w domu, jeśli uważają się za prawowiernych rzymskich katolików mających, jak wiadomo, zwyczaj

grzebania zmarłych w cmentarnej, poświęconej ziemi?

R.D.: – Indianie, szczególnie przywiązani do starych tradycji, też chowają zmarłych na cmentarzu, jak trzeba. Pozostawiają tam ich jednak tylko przez kilka lat. Akurat tyle, ile trzeba, żeby się ciało zmumifikowało lub rozłożyło. Pozostały proch i kości zbiera się wtedy z pietyzmem, przekłada do niewielkch skrzynek i zabiera do domu. Oczywiście nie wszyscy tak robią. Na pewno nie robią tak bardziej cywilizowani, wykształceni Indianie. Zetknąłem się z tym zwyczajem – przez znajomych Franciszkanów – tylko w prowincji Cochabamba. I tu wielki plus dla naszych zakonników: absolutnie nie wykazują oni oburzenia czy zdziwienia, kiedy na mszę, zamówioną jak każe zwyczaj „za spokój duszy", parafianin przynosi ze sobą do kościoła niewielką skrzynkę, w której czasami coś grzechoce. Nasi Franciszkanie udają wtedy, że nic nie rozumieją, choć w istocie dobrze wiedzą, że msza „za spokój duszy" została zamówiona zapewne dlatego, że szacowny przodek musiał zdrowo w domu narozrabiać. Może wyłaził w nocy ze skrzyneczki i tłukł się po obejściu, płosząc hodowlane lamy? Może zbyt głośno szurał nogami po klepisku, albo drzwiami trzaskał? To są sprawy na ogół niezrozumiałe dla księży-gringos. Ale nie dla księży-Polaków, ostatnio coraz częściej obejmujących parafie po niezbyt lubianych Amerykanach. Polscy księża i zakonnicy wykazują większy liberalizm wobec różnych zwyczajów nie mających czysto chrześcijańskiego pochodzenia. A małoż to takich zwyczajów gdzieś na Kurpiach albo Pogórzu?

S.K.: – Które jeszcze typowo indiańskie, a przecież jednocześnie chrześcijańskie zwyczaje udało się panu podpatrzeć?

R.D.: – Uroczystość święcenia nowego samochodu. Indianie przepadają wprost za święceniem wszystkich co znaczniejszych nabytków, ale samochody święcą z największym zapałem.

S.K.: – To znaczy, że mamy prawdziwych Indian w Podkowie Leśnej pod Warszawą. Zapewne nie wie pan o tym, że tam właśnie, obok kościoła, zwykle gdzieś tak w okolicach Wielkanocy, odbywa się uroczysty spęd nowo nabytych samochodów, a potem ich poświęcenie. Nie wyłączając ład zdobytych „na talon", czy według nowej nomenklatury „na asygnatę".

R.D.: – Zapewne samochody w Podkowie nie są na tę okazję zdobione równie pomysłowo i bogato jak indiańskie samochody w Cochabamba. Tam samochodu prawie nie widać spod ozdób – girland kwietnych, bibelotów i drogich przedmiotów ze srebra. Srebra nie może zabraknąć, gdyż jest ono znamieniem stopnia zamożności. W czasie ślubu panna młoda i pan młody przesypują sobie z rąk do rąk srebrne monety, potem ksiądz wiąże przed ołtarzem ich ręce srebrnym łańcuchem. Ale najbardziej zdumiał mnie, a nawet wzruszył inny ślubny zwyczaj indiański: kroczenie młodej pary ku ołtarzowi w takt poloneza Ogińskiego. Zwyczaj ten panuje oczywiście w tym kościele, gdzie jeden z naszych Franciszkanów robił z kaset podkład muzyczny dla typowej uroczystości ślubnej.

S.K.: – Zdumiał mnie pana polonez Ogińskiego podczas ślubu młodej pary Indian... I co jeszcze?

R.D.: – Byłem zdumiony słysząc, że zwracają się do mnie per „pedrito". Co po polsku znaczy mniej więcej „ojczulku".

S.K.: – No, no! Reporter reżimowej telewizji w roli zakonnika... Tego jeszcze nie było. Rozumiem, że przyczyną tego stanu rzeczy stali się towarzyszący panu często Franciszkanie.

R.D.: – Nie tylko. Powodem było również i to, że w rejonach zamieszkanych przez Indian, jedynymi znanymi im „białymi twarzami" są księża. Co wyrobiło odruch warunkowy: jak biały – to na pewno ksiądz.

S.K.: – Na koniec pytanie à l'americain: największy strach?

R.D.: – Był to strach towarzyszący jeździe ciężarówką p.o. autobusu na górskiej trasie Tarabico-Sucre. Droga była wąska, kamienista, pełna serpentyn nad przepaściami; kierowca kompletnie pijany. Czemu na samym początku dał dobitny wyraz ponawiając po wielekroć próby wdrapywania się do szoferki; były one zdumiewająco bezskuteczne; wyglądało to, jakby jakaś siła ciągnęła kierowcę wstecz. Dwukrotnie policjanci urzędujący na punktach kontrolnych przy wjeździe i wyjeździe z miast, stwierdziwszy stan opilstwa kierowcy, zakazywali mu dalszej jazdy. Ale on, pokonawszy opory moralne stróżów porządku odpowiednią paczką banknotów, dewaluujących się z godziny na godzinę – ruszał w dalszą drogę, jakby nigdy nic; może ciut przyspieszając. Skutek był taki, że trasę, którą z trzeźwym kierowcą jechałem cztery godziny, pijany pokonał w trzy godziny zaledwie.

S.K.: – Skutek był zapewne i ten, że u kresu podróży opuścił pan wehikuł mocno spocony. Zaręczam jednak, że bał się pan niepotrzebnie. My byśmy tutaj, w ojczyźnie, napisali wspaniałe wspomnienia i nekrologi. Że zginął jak na polskiego reportera przystało, itd.

R.D.: – W DTV z pewnością pokazaliby jakieś zdjęcie legitymacyjne...

S.K.: – No więc. Ale, ale... Z tej pana opowieści o pijanej, rajdowej jeździe ciężarówką przez góry wynikało tak jakby, że nikt z pasażerów łącznie z panem (bojącym się podobno okropnie) nie zaprotestował. Że nikt nie zrezygnował z jazdy. Zgadza się? Właśnie! I znów mi to coś skądeś przypomina.

R.D.: – Mnie także.

S.K.: – No to dziękuję.

rozmawiał: Stefan Kos

Spis treści

● ● ● ● ● ● ● ● ● ●

„EKSPRES REPORTERÓW” jest jedyną na polskim rynku wydawniczo-księgarskim reportażową serią książkową o aktualnej tematyce. W następnym tomiku przedstawimy Czytelnikom jak zwykle trzy reportaże:

● o aktualnym wydarzeniu ● społeczno-obyczajowy ● kryminalny



NIC CO CIEKAWE NIE JEST NAM OBCE!



Szukajcie „EKSPRESU REPORTERÓW” w kioskach „Ruchu” i księgarniach.

W CYKLU

Z podróżnej walizki

ROMAN DOBRZYŃSKI



ISBN 83-03-01109-X

cena zł 60